Lwów, Niedziela dnia 16. Marca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 7.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

Kilka słów w kwestji bieżącej.

Nie masz społeczeństwa bardziej bojaźliwego niż nasze.

Kilka odosobnionych wypadków propagandy studencko-socjalistycznej we Lwowie, w Krakowie i w Warszawie, kilka proklamacji, mających zamiar być czerwonemi a wyglądających jak gimnazjalne wypracowania, wreszcie owa, humorystycznej pamięci krakowska petarda, której huk rozległ się po całym kraju i zagrał na bojaźliwych nerwach, a której wybuch był zaledwie tak silny, iż kilkanaście szyb powybijał i zostawił po sobie w powietrzu nieco przykrej woni....

Oto cała litanja zbrodni społecznych, które tak wielkim strachem ogarnęły naszych stróżów porządku moralnego i nasze organa publicznego bezpieczeństwa. Tak, to są zbrodnie, owe komiczno-smutne wypadki, ale przedewszystkiem są to zbrodnie wobec samego socjalizmu, który na śmieszność i zohydzenie wystawiają. Niechże więc on im tego nie zapomina! Człowiek rozważny i poważny widzi w tych objawach tylko parodję, swawolną i karygodną, lecz zawsze tylko parodję owego wielkiego ruchu na Zachodzie, miotającego tam społeczeństwami, jak burza oceanem.

To co do nas z tej nawałnicy przychodzi, to zwykle tylko echo bezmyślne, to tylko resztki osłabionych fal, rozbijających się o brzegi i zostawiających po sobie zielsko jako ślady.

Lecz fale te coraz dalej sięgają, coraz szerzej zataczają swe koła, otaczają nas obręczą i z czasem gdzie teraz spokojnie, burza wywiązać się może. *Hannibal* już stoi *ante portas*. Więc strach ogólny i panika, a każdy wypadek najdrobniejszy, choćby jak bezmyślny, choćby jak dziecinny, jeży nam włosy na głowie. A strach to tem większy, że pewne warstwy społeczeństwa naszego, któremu przed oczy stawiają upiór socjalizmu, nie wiedzą prawie wcale co to jest socjalizm. Większość myśli, że to propaganda złodziejstwa, inni że zbójectwa a bardzo mało kąkol w nim od zdrowego ziarna odróżnić zdoła. Ztąd ten postrach towarzyszący zawsze nieznanym rzeczom. Gdzie uciec? czem się bronić? Jaką postawić tamę dość potężną, żeby od zalewu schronić mogła? — Niektóre rządy odpowiadają na to, że repressja i reakcja są najskuteczniejszymi wałami ochronnemi a z obozu postępowego słychać głos, *vox populi*: więcej wolności i więcej oświaty!

Przypatrzmy się krajom stojącym na wyżynach oświaty, krajom wolnym i mającym poczucie swej wolności. Weźmy naprzykład Anglję pod uwagę. Nic tam nie stawi tamy socjalizmowi. W tym kraju kominów fabrycznych i proletarjatu miejskiego, warunki do jego rozrostu i rozwoju są w nadmiarze. Wolność propagandy prawie nieograniczona. Tam przytułek dla dowódców socjalizmu z wszelkich stron stałego lądu, którzy zmuszeni zostali wyemigrować, bo wyjęto ich z pod opieki prawa. Czegożby więcej potrzeba do zaprowadzenia owej anarchji, bezładu, zamieszek, których tak się w Europie środkowej obawiają. A jednak czyż tam grozi jakie niebezpieczeństwo, czy okazała się potrzeba jakiejkolwiek represji?

Dajcie wszędzie więcej wolności i więcej oświaty, a nie będziecie mieli zmory, która wam spokojnie spać nie daje.

Uczestnicy ruchu socjalnego dzielą się, jak we wszystkich prądach społecznych zabierających szerokie koła i mających wybitne i daleko sięgające hasła, naprzód na marzycieli goniących za utopjami, zwykle kierujących się czystemi i szlachetnemi pobudkami, dalej na prawodawców nowego zakonu, mężów nauki i czynu, którzy czując głęboko i z mocnem postanowieniem potrzeby reformy, idą naprzód, powoli ale pewnie zdobywają na legalnej drodze zmiany i wreszcie, na zwykły kontyngens awanturników, ludzi bez pracy, bezmyślnie i ślepo dążących za nowemi hasłami, głodnych leniuchów, palących, wedle słów poety, bibljoteki dlatego, że czytać nie umieją, wrogów wszelkiego porządku i ładu, kochających brudy dlatego, że rzeczy wzniosłych, pięknych. dobrych i szlachetnych kochać i szanować ich nie nauczono.

Pierwsze dwie kategorje nie są wcale niebezpiecznemi, ani marzyciele ani też ludzie żądający na serjo i w granicach sprawiedliwości reformy społecznej. Dajcie im więcej wolności, a pierwsi w zetknięciu z życiem, z jego prozą, poznają co z ich marzeń może się stać ciałem, co jest możliwem, i to tylko zdołają w życie wprowadzić, a reszta zostanie w nich poetyczną, szlachetną wiarą w lepszą przyszłość.

Dajcie więcej wolności ludziom nauki społecznej, bo oni zwyle mają za sobą prawdę i sprawiedliwość, którym się nic oprzeć nie zdoła. Dajcie im zupełną swobodę sumienia, swobodę prasy, swobodę mównicy. Oni nie w fantazji ale ze „szkiełkiem w oku" i ze skalpelem badacza szukają ulgi dla tych, którzy cierpią, więc idą pewnie i spokojnie. Repressją przeciw nim nic nie zdołacie, bo nie znajdziecie tamy dość potężnej żeby powstrzymała fale postępu, jak nie znajdziecie dość wielkiej zasłony by zakryć słońce i zmienić w zmrok jasność dzienną.

Niech nas tu fałszywie nie rozumieją: mamy na myśli ludzi oddających się nauce na serjo, badających życie społeczne z szczerym zamiarem poprawy losów ludzkości.

A tym, których ciemnota lub źle skierowane i pełne braków wykształcenie prowadzi na fałszywe tory, dajcie więcej światła. Jak oświetlacie ulice miast waszych, żeby odstraszyć złoczyńców, tak oświecajcie tych, którym dotychczas światła nikt nie dał. Nie zostawiajcie w umysłach ciemnych próżnych zakątków, do których się tak łatwo zakradają przesądy, błędy a nawet zbrodnie. Zróbcie wszędzie dzień jasny, by przyjaciela od złoczyńcy odróżnić mogli. Zła myśl, jak złodziej szuka ciemnych zakątków. Światła boi się i unika.

———

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Rankiem w kilka dni później, pierwsze rumiane blaski porannej zorzy wpadły przez serce wykrojone w okiennicy i zbudziły mnie ze snu. Wkrótce zapukał ktoś w okiennicę i w różanym otworze ukazała się nie twarz Zosi Mickiewiczowskiej, która w podobny sposób budziła Tadeusza, ani też mojej Hani, ale wąsata twarz Wacha, leśniczego, a gruby głos zawołał:

— Paniczu!

— A co tam?

— Wilki gonią za wilczycą w Pohorowych haszczach. Mieliśmy iść na wabia.

— Zaraz!

Ubrałem się: wziąłem strzelbę, nóż myśliwski i wyszedłem. Wach stał cały mokry od rosy porannej z długą zardzewiałą pojedynką na plecach, z której jednak nie zdarzyło mu się chybić. Ranek był wczesny: słońce jeszcze nie weszło, ani ludzie nie wyszli do roboty, ani bydło w pole. Niebo tylko barwiło się błękitnie, różowo i złociście na wschodzie, a na zachodzie było surowe. Swoją drogą staremu było pilno.

— Mam bidę i szkapę. Pojedziemy ku wykrotom — rzekł.

Siedliśmy i pojechali. Zaraz za stodołami zając wyskoczył z owsa i przebiegłszy nam drogę, skoczył na łąkę znacząc ciemniejszemi ślady srebrną od rosy jej powierzchnię. Stary rzekł:

— Kot przez drogę! na psa urok!

A potem dodał:

— Późno już. Niedługo ziemia cień chwyci.

Znaczyło to, że nie długo słońce zejdzie — bo przy blasku zorzy ciało nie rzuca cienia na ziemię.

— A to przy cieniu źle? — spytałem.

— O wielkim, to tam jako tako, ale o małym, próżna robota.

W języku niemyśliwskim znaczyło to znów: im później tem gorzej, bo wiadomo, im bliżej południa, tem cień mniejszy.

— Odkąd poczniemy? — spytałem.

— Od wykrotów, ale w samych Pohorowych haszczach.

Pohorowe haszcze, była to część lasu nadzwyczaj zarosła, gdzie znajdowały się wykroty, to jest jamy pod korzeniami starych drzew wywróconych przez burzę.

— I na wabia, myślicie Wachu, że się uda.

— Poczne grać jak basiora, może jaki basiór wyjdzie.

— A może i nie!

— E! taki wyjdzie.

Dojechawszy do chaty Wacha, zostawiliśmy konia i bidę chłopcu, sami zaś udaliśmy się piechotą. Po półgodzinnej drodze, kiedy słońce zaczęło wschodzić, zasiedliśmy w wykrotach.

Koło nas naokół była gęstwa nieprzebita drobnych zarośli; gdzie niegdzie rosły tylko wielkie drzewa, wykrot zaś był tak głęboki, że schowaliśmy się weń z głowami.

— Teraz plecami! — mruknął Wach.

Osiedliśmy do siebie plecami, tak, że nad powierzchnią gruntu wystawały nam tylko czubki głów i lufy strzelb.

— Czuj! — rzekł Wach. — Poczynam grać.

Włożywszy dwa palce w usta i modulując niemi przeciągły głos, Wach zagrał jak basiora, to jest zawył jak wilczyca wabiąca wilków.

— Czuj!

I przyłożył ucho do ziemi.

Ja nie usłyszałem nic, ale Wach oderwał twarz od ziemi i szepnął:

— Gra, ale daleko. Będzie pól mili.

Potem czekał z kwadrans i znów zawył, przebierając palcami w ustach. Żałośny, a złowrogi głos przebił gęstwinę i daleko, daleko leciał po mokrej ziemi, odbijając się od sosny do sosny.

Wach na nowo przyłożył ucha do ziemi.

— Gra! jest niedalej jak półtorej wiorsty.

Jakoż rzeczywiście i ja usłyszałem teraz jakby odległe echo wycia, dalekie jeszcze bardzo, zaledwie dosłyszalne, ale dające się już wśród szelestu liści rozróżnić.

— Zkąd wyjdzie? — spytałem.

— Na panicza.

Wach zawył trzeci raz: wycie odpowiedziało już blisko. Scisnąłem mocniej strzelbę w ręku, a obaj zatamowaliśmy dech w piersiach. Cisza była niezmierna, wiatr tylko strząsał krople rosy z leszczyny, które spadały szemrząc po liściach. Zdaleka, z innej strony lasu doszło nas tokowanie głuszca.

Nagle o jakie trzysta kroków zamajaczyło coś w gęstwinie, krzaki jołowcowe poruszały się żywo, i z pośród ciemnych igieł wynurzyła się szara trójkątna głowa ze spiczastemi uszami i czerwonemi oczyma. Strzelać nie mogłem, bo było jeszcze zbyt daleko, więc czekałem cierpliwie, lubo z bijącem sercem. Wkrótce całe zwierzę wynurzyło się z jałowcu i w kiku niewielkich skokach podbiegło ku wykrotowi, wietrząc pilnie na wszystkie strony. Na sto pięćdziesiąt kroków wilk zatrzymał się i nastawił uszy, jakby coś przeczuł. Wiedziałem, że bliżej już nie podejdzie, i pociągnąłem za cyngiel.

Huk strzału zmięszał się z bolesnem zaskowyczeniem basiora. Wyskoczyłem z wykrotu, Wach za mną, ale wilka nie znaleźliśmy na miejscu, Wach jednak obejrzał pilnie miejsce, gdzie rosa starta była na polance, i rzekł:

— Farbuje!

Rzeczywiście na trawie były ślady krwi.

— Nie pudło, choć daleko! nie pudło; farbuje — o! farbuje, trzeba za nim iść.

— A więc i poszliśmy. Gdzieniegdzie trafialiśmy na potłuczoną trawę i większe ślady krwi; znać było, że ranne wilczysko od czasu do czasu wypoczywa. Ale tymczasem upłynęła godzina drogi po gąszczach i haszczach, potem druga; słońce już wysoko; uszliśmy ogromny kawał drogi nie znalazłszy nic prócz śladów, które zresztą czasem niknęły zupełnie. Potem trafiliśmy na kąt lasu: ślady szły ze dwie wiorsty polem w kierunku stawu — i wreszcie ginęły na błotach porosłych trzciną i tatarakiem.

Dalej nie można było iść bez psa. „Już on tam zostanie, a ja jutro go znajdę—rzekł Wach — i zawróciliśmy do domu.

Wkrótce przestałem myśleć o wilku i o Wachu i o niefortunnym trochę rezultacie polowania, a natomiast wróciłem do zwykłego mego koła utrapień. Kiedy zbliżyliśmy się do lasu, zając wyrwał mi się prawie z pod nóg, a zamiast strzelić do niego, drgnąłem tylko, jakby rozbudzony z zamyślenia.—„A! panie! — zawołał z oburzeniem Wach — do rodzonego brata bym strzelił, żeby mi się tak pomknął!" — Ale ja uśmiechnąłem się tylko i szedłem w milczeniu. Przechodząc przez leśną drogę, tak zwaną: Ciociną dróżkę, wiodącą do gościńca ku Chorzelom, ujrzałem na mokrej ziemi świeże ślady podkutych kopyt końskich.

— Nie wiecie Wachu co to mogą być za ślady? — pytam.

— Mnie się widzi, że to panicz z Chorzel tędy przyjechał do dworu — odparł Wach.

— A to i ja pójdę do dworu — odpowiedziałem. — Bądźcie zdrowi, Wachu!

Wach począł mnie nieśmiało prosić bym wstąpił do jego chaty, do której było niedaleko, posilić się trochę. Wiedziałem, że jeśli mu odmówię, zrobię mu wielką przykrość— a jednak odmówiłem, obiecawszy tylko przyjść nazajutrz rano. Ale nie chciałem, by Selim i Hania zostawali długo sam na sam, bezemnie. Przez te pięć dni, które upłynęły od czasu wizyty w Ustrzycy, Selim bywał wprawdzie codziennie. Wzajemna sympatja dwojga młodych rozwijała się szybko pod mojemi oczyma! Ale też pilnowałem ich jak oka w głowie, i dziś pierwszy raz zachodził wypadek, że mogli zostawać z sobą dłużej sam na sam. A nuż, myślałem sobie, przyjdzie między niemi do wyznania — i czułem, że blednę, jak ten co traci nadzieję nadziei.

Bałem się tego, jakby jakiegoś nieszczęścia, jakby niecofnionego wyroku śmierci, o którym się wie, że nadejść musi, ale który człek odwlóczy ile mu sił stanie.

Wróciwszy do domu, na dziedzińcu spotkałem księdza Ludwika, ubranego w worek na głowie, otaczający drucianą siatkę na twarz. Ksiądz Ludwik wybierał się do pasieki.

— Czy Selim tu jest, księże Ludwiku? — spytałem.

— Jest; będzie z półtory godziny jak przyjechał.

Serce zadrżało mi niespokojnie.

— A gdzie go znajdę?

— Wybierali się na staw z Hanią i z Ewunią.

Pobiegłem szybko do ogrodu nad brzeg stawu, gdzie stały czółna. Rzeczywiście jednego z większych czółen brakło — spojrzałem na staw, ale zrazu nie mogłem nic dojrzeć. Domyśliłem się, że Selim musiał skręcić na prawo ku olszynom, skutkiem czego czółno wraz z jadącymi zasłonięte było przez rosnące na brzegach trzciny. Schwyciłem wiosło i wskoczywszy w małą jednoosobową łódkę, ruszyłem a cicho na staw, trzymając się trzcin i nie wyjeżdżając z nich całkowicie, tak aby widzieć, nie będąc widzianym.

Jakoż wkrótce ujrzałem ich. Na obszernej nie porośniętej trzciną przestrzeni tkwiło nieruchome czółno; wiosła były zwieszone. Na jednym jego końcu siedziała odwrócona od

Hani i Selima mała siostrzyczka moja, Ewunia, drugim końcu ich dwoje. Ewunia pochylona ku wodzie, uderzała w nią wesoło rączkami, i całkiem była zajęta tą zabawą. Selim zaś i Hania, prawie oparci o siebie ramionami, zdawali się zatopieni w rozmowie. Najmniejszy powiew wietrzyka nie marszczył przezroczystej błękitnej toni, a czółno, Hania, Ewunia i Selim odbijali się w niej jak w zwierciadle spokojnie i nieruchomie.

Był to może badzo piękny obrazek, ale na widok jego krew uderzyła mi do głowy. Zrozumiałem wszystko: wzięli ze sobą Ewunię, bo dziecina nie mogła im przeszkadzać, ani rozumieć miłośnych wyznań. Wzięli ją dla pozoru. „Stało się! pomyślałem sobie — „stało się!“ zaszumiały trzciny. „Stało się!“— wybełkotała fala, uderzająca o brzeg mojej łódki — i w oczach mi pociemniało, uczułem zimno i gorąco, uczułem, że bladość pokrywa mi twarz! Straciłeś Hanię! straciłeś, wołały jakieś głosy nademną i we mnie. A potem, usłyszałem jakby też same głosy wołały: Jezus Marja! a potem, jeszcze mówiły: Przysuń się bliżej i ukryj się w trzcinach, zobaczysz więcej! Usłuchałem i podciągnąłem się z łódką cicho jak kot. Ale i z tej odległości nie mogłem słyszeć rozmowy, widziałem tylko lepiej: siedzieli okok siebie, na jednej ławeczce, nie trzymając się za ręce. Selim jednak zwrócony był ku Hani; zdawało mi się przez chwilę, że klęka przed nią, ale mi się to tylko zdawało. Zwrócony był ku niej i patrzył na nią błagalnie, ona zaś nie patrzyła na niego, ale jakby oglądała się na wszystkie strony niespokojnie, potem zaś podniosła oczy ku niebu. Widziałem, że była zmięszana, widziałem, że on błagał o coś, widziałem wreszcie, jak złożył rękę przed nią, jak ona zwolna, zwolna zwracała główkę i oczy ku niemu, jak wreszcie zaczęła się ku niemu pochylać, ale nagle oprzytomniawszy, drgnęła i odsunęła się na sam brzeżek łodzi, a wówczas on schwycił ją za rękę, niby obawiając się, żeby nie spadła w wodę. Widziałem, że nie puścił już tej ręki, a potem nie widziałem nic więcej, bo chmura zasłoniła mi oczy. Wypuściłem wiosło z ręki i padłem na dno łodzi. Ratunku! ratunku Boże! Czułem, że brak mi tchu. O, jakże ja ją kochałem i jakiż byłem nieszczęśliwy! Leżąc na dnie łodzi i szarpiąc ze wściekłości na sobie ubiór, czułem zarazem całą bezsilność tej wściekłości. Tak jest, byłem bezsilny, bezsilny, jak etleta ze związanemi rękoma, bo i cóż mogłem uczynić? Mogłem zabić Selima, siebie, mogłem uderzyć swoją łodzą o ich łódkę i zatopić w falach oboje, ale nie mogłem wydrzeć z serca Hani miłości dla Selima i zabrać dla siebie wyłącznie, niepodzielnie!

Ach! to poczucie bezsilnego gniewu, to przekonanie: nie ma rady! w tej chwili, gorsze było prawie od wszystkich innych. Zawsze wstydziłem się płakać, nawet przed samym sobą. Jeśli ból wyciskał mi gwałtownie łzy z oczu, to niemniej gwałtownie wstrzymywała je duma. Ale teraz złamała się wreszcie bezsilna wściekłość szarpiąca mi piersi, wobec tej samotni, wobec tej łodzi z zakochaną parą, odbijającej się w lustrzanej fali, wobec spokojnego nieba i tych trzcin szeleszczących smutno nad moją głową, i ciszy i moich nieszczęść i mojej niedoli, wybuchnąłem łkaniem, jedną wielką falą łez, i leżąc na wznak, z rękoma splecionemi nad głową, ryczałem prawie z żałości wielkiej, niewypowiedzianej.

Potem osłabłem. Napadło mnie jakieś odrętwienie. Zmysły prawie przestały działać, uczułem zimno w końcach rąk i nóg. Słabo mi było i coraz słabiej. Myślałem resztkami myśli, że to już zbliża się śmierć i uspokojenie wielkie a lodowate. Zdało mi się, że ta posępna, grobowa władczyni bierze mnie w swoje posiadanie, więc witałem ją spokojnem, szklistem okiem. Skończyło się! myślałem, i niby wielki jakiś ciężar spadł mi z piersi.

Ale nie skończyło się nic. Jak długo tak leżałem na dnie łódki, nie umiałem sam sobie zdać sprawy. Na niebieskiem sklepieniu przed oczyma memi przesuwały się czasem lekkie, puszyste chmurki, czasem przeleciały, kwiląc żałośnie, to czajki, to żórawie. Słońce weszło wysoko na niebie i paliło żarem. Ustał wiatr, przestały szemrać tkwiące nieruchomo trzciny. Obudziłem się, jakby ze snu i począłem się rozglądać naokoło. Czółna z Hanią i Selimem już nie było. Cisza, spokój i upojenie panujące w całej naturze, dziwną stanowiły sprzeczność ze stanem sennego odrętwienia, z jakiego obudziłem się przed chwilą. Naokoło wszystko było spokojne, uśmiechnięte. Ciemno-szafirowe koniki wodne siadały na zrębach łódki, i na płaskich, jak tarcze, liściach nenufarów; maleńkie szare ptaszki kołysały się po trzcinach, gwarząc słodko; gdzieniegdzie słychać było pracowite brzęczenie zabłąkanej na wodach pszczółki; czasem z tataraku ozwały się dzikie kaczki; cyranki wyprowadzały swoje młode na polanki wodne. Królestwa i rzeczypospolite ptasie, odchylały oczom moim zasłonę swego codziennego życia, ale ja nie zważałam na nic. Senność moja jeszcze nie przeszła. Dzień był znojny; czułem nieznośny ból głowy, więc wychyliwszy się z czółna, chwytałem dłońmi wodę i piłem ją spieczonemi ustami. Wróciło mi to trochę siły. Wziąwszy wiosło ruszyłem między szuwarami do domu, ile że już i późno było, a w domu pewno pytano o mnie.

Po drodze próbowałem uspokajać się. Jeżeli Selim i Hania wyznali sobie, że się kochają, to może i lepiej się stało, myślałem. Przynajmniej skończyły się przeklęte dni niepewności. Nieszczęście odchyliło przyłbicę i stoi przedemną z jasną twarzą. Znam je i muszę z niem walczyć. Dziwna rzecz! myśl ta poczęła nawet mieć dla mnie pewien bolesny urok. Ale nie miałem jeszcze pewności i postanowiłem sobie wybadać zręcznie Ewunię, przynajmniej o tyle, o ile to było możliwem.

Trafiłem w domu na obiad. Z Selimem przywitałem się zimno i siadłem do stołu w milczeniu. Ojciec spojrzał na mnie i zawołał:

— Co tobie jest, czyś nie chory?

— Nie. Zdrów jestem, tylko zmęczony. Wstałem o trzeciej rano.

— Dlaczego?

— Chodziliśmy z Wachem na wilki, Postrzeliłem wilka. Później położyłem się spać i trochę mię głowa boli.

— A przejrzyj-no się w lustrze, jak wyglądasz.

Hania przestała na chwilę jeść i przypatrywała mi się pilnie.

— Może to wczorajsza wizyta w Ustrzycy tak podziałała na pana, panie Henryku? — rzekła.

Spojrzałem prosto w oczy i spytałem prawie ostro.

— Jak to rozumiesz?

Hania zmięszała się i poczęła coś niewyraźnie tłómaczyć. Selim przyszedł jej w pomoc.

— No, to bardzo naturalnie. Kto się kocha, ten mizernieje.

Zacząłem spoglądać na przemiany to na Hanię, to na Selima, i odpowiedziałem zwolna, dobitnie, kładąc nacisk na każdą syllabę:

— Nie widzę, żebyście zmizernieli: ani ty, ani Hania!

Pąsowy rumieniec oblał twarze obojga. Nastała chwila bardzo kłopotliwego milczenia. Ja sam nawet byłem niepewny, czy nie zadaleko się posunąłem; szczęściem jednak ojciec nie wszystko słyszał, co się mówiło, ksiądz Ludwik zaś wziął to za zwykłe przekomarzanie się młodych.

— A to osa z żądłem! — wykrzyknął, zażywszy tabaki. — A to was wziął. A widzicie! nie zaczepiajcie go.

O Boże! jakże mnie mało ten mój tryumf pocieszał, i jakże chętnie zrzekłbym się go za przegranę Selima. (C. d. n.)

ZUŻYTKOWANIE PROMIENI SŁOŃCA.

przez

B. Abakanowicza.

Geneza naszego układu słonecznego jest już obecnie ze stanowiska naukowego zupełnie wyjaśnioną z prawdopodobieństwem takiem, którem tylko rzadko która z hipotez poszczycić się może. Oto jest treść jej w kilku słowach:

Na początku był wielki, olbrzymi obłok pary złożonej z ciał, które obecnie w wszechświecie spotykamy. Ciała te były w stanie lotnym i cały obłok, był jak owe mgławice, które i teraz w różnych miejscach przestrzeni widzimy. Zkąd on się wziął? kto go rzucił w przestwory świata? Jaka jego pierwsza przyczyna? Nie do nas należy odpowiadać na te pytania. Dość że wiemy, iż istniał on i coś mu nadało ruch obrotowy. Mamy na potwierdzenie tego przypuszczenia niezliczoną moc faktów. Mgławica ta zaczęła powoli się zgęszczać, obracając się coraz szybciej według praw ogólnego ciążenia, odrywały się od niej pierścienie przerywające się z czasem i spływające w kule masy rozżarzonej, które potem stygły i gęstniały dalej, aż doszły do stanu obecnego, gdzie je widzimy krążące około słońca w postaci planet.

Środkowa część tej mgławicy utworzyła słońce nasze. Tam się zebrała największa ilość masy, tam jeszcze nie zdołała ona ostygnąć, jeszcze słońce jest ciałem na pół płynnem, rozpalonem do najwyższego stopnia i ono zasila nas ciepłem, bez którego wszelkie życie na ziemi naszej byłoby niemożliwem.

Układ nasz słoneczny możemy sobie wystawić jako potężną machinę, w której słońce gra rolę ogniska, źródła siły, dającej ruch całości. Jest ono tem, czem węgiel w kotle parowym. Zgasić pod lokomotywą ogień, a biedz przestanie. Zgasić słońce, a nie masz na ziemi ruchu, więc nie masz i życia.

Słońce rządzi i kieruje przeważnie biegiem

wszystkich planet, ono przenosi wodę z mórz do obłoków, ono jest źródłem wiatrów, deszczów, ono jest źródłem wszelkiego życia.

Gdy jego promienie padają na powierzchnię wód morskich, to wytwarzają parę wodną, która się unosi w górę i tworzy obłoki, wylewające się deszczem w głębi lądów, na wyżynach. Z tamtąd spływa woda w kształcie strumyków, potoków, rzek i porusza swym prądem młyny, niesie na swych barkach statki i rozrywa brzegi.

Siła ciepła słonecznego, zamieniła się w tym wypadku na siłę mechaniczną biegu wody.

Lecz oprócz ciepła, jeszcze i inne zrodła siły od słońca ku nam przybiegają. Promienie jego mają wielką potęgę chemiczną. One zmieniają barwy ciał różnych, zmieniają ich skład chemiczny. Najjawniej widzimy to na czułej płycie fotograficznej. Promienie te z kwasu węglowego rozlanego w powietrzu, budują rośliny, wyswobadzajęc zeń węgiel i osadzają w roślinach, a uwalniają tlen, bez któregobyśmy żyć nie mogli.

To też słusznie, choć nieco za poetycznie powiedział Moleschott, że „rośliny są to istoty utkane z powietrza przez słońce".

Węgiel, który swą bezpłatną pracą słońce nagromadziło w roślinach, zużywa następnie człowiek do swych celów, opalając nim mieszkania, gotujac strawę lub wywołując parę w kotłach parowych. W tym ostatnim wypadku mamy piękny przykład, jak siła chemiczna została zamienioną na siłę mechaniczną.

W głębokościach ziemi znajdują się wielkie magazyny węgla zakopane tam w geologicznych przewrotach. Zapas to zebrany na tej samej drodze, przy pomocy słońca. Są to potężne masy kamiennego węgla, owych resztek pośmiertnych niezmiernie bujnej roślinności dawniejszych okresów istnienia twardej ziemskiej skorupy. Od nie nazbyt dawna zaczęto na wielką skalę temi nie przez nas zebranemi skarbami się posiłkować.

Któżby mógł sądzić, że czarny kawał węgla jest zbiorem owej jasności słońca, która nam dzień daje i owego ciepła które nas ogrzewa?

Jeżeli się przypatrzymy olbrzymiemu rozwojowi przemysłu w naszych czasach i zaczniemy szukać warunków, które temu rozwojowi najbardziej pomagały, to się przekonamy, że najwięcej węglowi kamiennemu mamy do zawdzięczenia. Lecz czyż te zapasy są niewyczerpane. Czy nie przyjdzie chwila, że oskard górnika wyrwie ostatnią bryłę znaną, żeby ją na pamiątkę w jakim gabinecie ciekawości przechować? Jestto ewentualność konieczna. Wprawdzie daleka, starczy nam jeszcze węgla na długie lat tysiące, lecz przyjdzie wreszcie chwila stanowcza. Zkąd wtedy wziąć siłę do poruszania fabryk, do pędzenia lokomotów na torach kolejowych, do przewożenia okrętów?

Odpowiedź na to pytanie zaprząta już nawet teraz wiele wybitnych umysłów. O jednej z takich odpowiedzi, mającej bardzo realne, pozytywne podstawy, mam zamiar obecnie pomówić.

Zkąd brać siłę?

Brać wprost ze słońca, o ile można z pierwszej ręki, z samego źródła. Łowić i ujarzmiać jego ciepłe promienie, ujarzmiać wiatry, deszcze, burze, przypływy mórz i ich fale, prądy na oceanie, ujarzmiać wszystkie wielkie ruchy w przyrodzie, zużytkowując je na własny pożytek. Słońce na całej powierzchni ziemi, a szczególniej w okolicach podzwrotnikowych, rozlewa swą potęgę. Niszczy, rozdziela, łączy, podnosi, przenosi, w ogóle działa bez przerwy. Prace te nie giną w ogólnem gospodarstwie przyrody, lecz przeważnie dla człowieka giną marnie.

Chodzi o to, żeby te rozpròszone siły zebrać i skierować wprost do bezpośredniego użytku.

Ważnym i bardzo ciekawym przyczynkiem do poszukiwań w tym kierunku, są machiny słoneczne Mouchota, które taką uwagę powszechną zwracały na ostatniej wystawie paryskiej.

Już Egipcjanie myśleli o bezpośredniem zużytkowaniu promieni słonecznych, skupiając je za pomocą źwierciadeł, a później Euklides wskazywał sposoby ustawiania takich źwierciadeł. Za jedno jednak z najpierwszych prawdziwie praktycznych zastosowań, możemy uważać spalenie floty Marcellusa pod Syrakuzą przez nieśmiertelnego Archimedesa. Miał on tak ustawić źwierciadła, że skupiwszy promienie słońca na ścianach drewnianych statków zapalił je i zniszczył. Poddawano tę legendę wątpliwości, lecz nabrała ona prawdopodobieństwa po sławnem doświadczeniu Buffona, który z odległości 78 metrów zapalał deski drewniane.

Rzymianie mieli także swoje zwierciadła zapalające. Westalki używały ich do zapalania swego znicza. A najbardziej uderzającą jest rzeczą, że kształt tych źwierciadeł był bardzo zbliżony do tego, który Mouchot obecnie używa. Były to wklęsłe, brązowe, szlifowane stożki.

W wiekach średnich i nowożytnych teorje optyczne rozwinęły się i dały podstawy do ścisłych obliczeń. Ciołek (Vitellio) podaje rezultaty teoretyczne do ustawienia źwierciadeł skupiających światło. Salomon de Caus chce te rezultaty praktycznie zastosować i buduje machinę do podnoszenia wody, która się nie udaje. W XVIII wieku Saussure i Ducarlat zajmują się żywo tą kwestją, a temu ostatniemu udało się nawet, pod kilku ustawionemi nad sobą kloszami ugotować mięso.

Do ostatnich lat bieżącego stólecia zrobiono bardzo wiele w kierunku zbadania ciepła i światła, lecz o zastosowaniu bezpośredniem promieni słońca nie myślano wcale, aż dopiero Mouchotowi udało się rozwiązać w sposób wielce obiecujący, ten trudny problemat.

Mouchot, profesor Lyceum w Tours, od r. 1860 zwrócił całą pracę na poszukiwanie sposobów ujarzmienia ciepłych, słonecznych promieni. Pierwsze jego próby nie zostały uwieńczone świetnemi rezultatami. Naprzód zaczął on używać wklęsłych źwierciadeł walcowych. Wiadomo że kuliste, zwykle używane źwierciadła koncentrują promienie w jednym punkcie. Otóż jeżeli takiem zwierciadłem zechcemy zagrzewać kociołek z wodą to tylko jedno miejsce będzie się zagrzewało a daleko korzystniejszem by było, żeby ciepło było rozlanem na całej powierzchni kociołka. W tym celu zamiast kulistego źwierciadła, Mouchot użył walcowego, które skupia promienie w jednej linji tworzącej oś walca. Mały kociołek podłużny, mający kształt walcowy, umieszczał się tak, żeby jego oś upadała na linijne ognisko źwierciadła. Aby zresztą promienie cieplikowe nie odbijały się od jego powierzchni, pokrywał go warstwą sadzy absorbującą wszystkie prawie promienie. Lecz mimo tych ostrożności woda w kociołku nie chciała się gotować, to chociaż ilość ciepła dostarczonego przez słońce była bardzo znaczną, to jednak kociołek wysyłał zaraz te promienie na wszystkio strony w powietrze, tak że następowała pewnego rodzaju równowaga. Woda zagrzewała się do dość znacznej temperatury, lecz jej wysokość po za pewną granicę nie przechodziła i nie dosięgała nigdy granicy wrzenia.

Mały dodatek zrobiony do aparatu, odrazu usunął tę przeszkodę, i rozwiązał całkowicie zadanie. Kociołek został nakryty kloszem szklannym i woda zaczęła się po krótkim czasie wystawienia na słońce gotować.

Było to coś, w rodzaju owego Kolumbowego postawienia jaja.

Oddawna znaną było rzeczą, że szkło przepuszcza promienie cieplikowe, które są jasne, lecz ciemnych promieni nie przepuszcza wcale. Każdemu jest znaną różnica miedzy temi dwoma rodzajami promieniejącego ciepła: Słońce np. daje nam jasne i ciepłe promienie, bo je widzimy, piec rozgrzany daje ciemne, bo ich nie widzimy, chociaż czujemy. Ciepło jasne, słoneczne przechodzi przez szyby naszych okien i ogrzewa podłogę oraz ściany pokojów, które wysyłają napowrót ze swej powierzchni promienie ciepła, lecz już nie jasne i nie mogą się one przez szyby okien wydobyć na zewnątrz. To też dlatego w pokojach oświeconych i mających zamknięte okna, tak szybko podnosi się temperatura.

Na tej zasadzie opartą jest budowa nowych machin Mouchota.

Jeżeli bowiem umieścimy pod szklannym kloszem kociołek poczerniony sadzą i skoncentrujemy nań za pomocą źwierciadła ciepłe promienie słońca, to przejdą one swobodnie przez ów klosz szklanny i będą pochłonięte przez czarną powierzchnię kociołka, który się zagrzeje. Jednocześnie kociołek ten zacznie wysyłać promienie na wszystkie strony i będzie starał się rozpròszyć je w przestrzenie. Lecz klosz szklanny stanie temu na przeszkodzie. Promienie, które kociołek wysyła już nie są jasnemi i dlatego szkło ich na zewnątrz nie wypuszcza. Ciepło złożone w tę szklanną pułapkę, musi tam pozostać i nagromadzać się co raz bardziej.

Zrobiwszy to odkrycie Mouchot rzucił się z podwójną energją do pracy i obecnie po kilku latach oglądać można było na wystawie paryskiej kilka aparatów wybornie funkcjonujących. Gdyby nie ofiarność prywatna i nie pomoc rządu Mouchot nie zdołałby przyprowadzić swego dzieła do skutku. Ministerstwo oświaty dało mu pieniądze na wyjazd do Algieru, gdzie mógł do prób swych używać gorących, palących promieni zwrotnikowego słońca.

W ogóle przyszłość machin słonecznych leży w południowych krajach, a szczególniej tam, gdzie słońce nieraz przez całe tygodnie a nawet miesiące nie jest zasłonięte chmurką i gdzie nań wyczekują jak na istną plagę.

Ostateczny kształt jaki Mouchot nadał swym machinom jest nieco odmienny od tego, któryśmy dopiero co opisali. Zamiast źwierciadeł walcowych używa on obecnie źwierciadła stożkowe, których wewnątrz posrebrzone ściany, skupiają promienie w osi stożka. W tej właśnie osi umieszczonym jest długi a dość wązki, cylindrowy kociołek, poczerniony na swej zewnętrznej powierzchni. Cienki cylinder szklanny o średnicy nieco większej od średnicy kociołka otacza go w odległości zaledwie kilku milimetrów od ścianek. Zwierciadło ma u spodu zawiasy, które pozwalają ustawiać je w dowolnej pozycji i w każdej chwili zwracać ku stronie słońca. Zwracanie to odbywa się za pomocą ręki i nie potrzebuje być zbyt często powtarzanem.

(Dok. nast.)

DROGI ŻYCIA

POWIEŚĆ SZWEDZKA

przez

CARLINA.

(Dokończenie).

XV.

Na zachodniem wybrzeżu.

Już od tygodnia znajdowała się Lidja z majorową Gyllen w Lyrekil. Cierpiąca na ból w nodze, majorowa nie czuła dotąd najmniejszego polepszenia w swojem zdrowiu, pomimo to nie była wcale wymagającą panią względem Lidji. Miała przy sobie starą służącę, a chociaż towarzystwo Lidji było dla niej bardzo pożądane, dawała swojej towarzyszce prawie nieograniczoną swobodę. Co dzień po południu gdy majorowa spała od 3ej do 5ej, miała Lidja zupełnie wolną chwilę. Podczas tych dwóch ulubionych godzin i to w czasie, kiedy nie wiele gości kąpielowych wychodziło na przechadzkę, Lidja oglądała stare, najgodniejsze widzenia części miasta, lub schodziła na brzeg aby napawać się czarującym widokiem morza, tego olbrzymiego żywiołu, na który czy on spokojny czy burzliwy spogląda się zawsze z pewnem przerażeniem i zachwytem.

Lecz jakoś dobre jej usposobienie, z którem tu przyjechała, nieco się zmieniło: jeszcze więcej jak zwykle szukała miejsc samotnych, gdzieby mogła pewien list po kilka razy odczytywać i zastanawiać się nad znaczeniem niektórych ustępów. List ten już przeszło sześć tygodni był u niej, otrzymała go razem z listami ciotek w owej stanowczej chwili, gdy propozycja pana Andrjana była powodem do tak gwałtownego przewrotu w jej życiu. Odtąd raz tylko miała wiadomość z domu, a w tym liście nie było nawet wzmianki o sztokholmskim korespondencie.

Biedna Lidja, bardzo była zmartwiona. Gdzież się obróci, po sześciu tygodniach? Wprawdzie wspominały ciotki coś o powrocie do domu, ale Lidja nie chciała się na to zgodzić, w gazetach zaś nadarmo szukała dla siebie obowiązku.

Tymczasem pozwolimy sobie przytoczyć ten ustęp, nad którym zastanawia się teraz Lidja odczytując powtórnie list Edmunda:

„... Przed kilkoma dniami spotkała mnie nader miła niespodzianka. Właśnie kiedy doszedłem do przekonania, że mi na świecie tylko dobrej ciotki brakuje, i gdy postanowiłem przybrać sobie takową, spotkałem na Schlasen placu kuzynkę nieboszczki mojej ukochanej matki, najzacniejszą starą pannę, mającą przeszło lat 50. Czy to być może? — zawołałem zdziwiony, ciotka Marta. Edmund! — zawołała staruszka — czy to ty? zapuszczona broda zmieniła zupełnie twoją fizjognomię! Przyjechałam na stałe mieszkanie do Sztokholmu i mam bardzo piękny domek... będziesz miał doskonałe obiady u mnie... Wiem przecie, że bez żadnego interesu przyjdziesz mię odwiedzić.

— Ma się rozumieć, kochana cioteczko;... zachwycony jestem projektami ciotki... Nie tylko nie potrzebuję pieniędzy, ale nawet najmniejszej pomocy; gdyż oprócz zajęć dziennikarskich jestem obecnie urzędnikiem w banku krajowym. Jeżeli czego mi brakuje to tylko kochanej i dobrej ciotki!

Lidja przeczytawszy ten ustęp oparła głowę na ręku.

— Czy podobna — myślała młoda dziewczyna — ażeby tak wielką wagę przywiązywał do posiadania starej ciotki?

Po chwili wzięła znowu list do ręki i zaczęła czytać dalej:

„Mówiąc otwarcie, najdroższa Lidjo, (gdyż od dawna tak do niej pisywał), nie jestem bardzo spokojny o twój pobyt w domu kupca. Zdaje mi się, że będziesz tam jednocześnie za mało i trochę za wiele lubianą.“

Lidja często bardzo zastanawiała się nad znaczeniem tych kilku wierszy, ale dzisiaj dopiero wpadła na myśl, że Edmund przeczuwał co mogło zajść w domu wdowca.

— Tak, tak — mówiła — niezawodnie o tem myślał. Wstrząsnęła piękną główką,... zadumała się nieco, i jakby zawstydzona podniosła się prędko zdążając ku domowi.

Za powrotem spotkała ją niespodzianka, na stole leżały dwa listy, ale na nieszczęście nie te, których oczekiwała.

Pierwszy jaki Lidja otworzyła, był od hrabiny T., pisała do swojej faworytki, że właśnie w tych dniach odebrała list od Justyny, który ją uwiadomił, że Lidja jest obecnie bez miejsca. Zatem bez wielkich korowodów ofiarowuje jej dobra staruszka znów takowe u siebie prosząc, ażeby z wód wprost do Stefanhof przyjechała. Justyna i pan dziedzic przyjadą aż pod koniec lata, więc sama hrabina jakoteż i wnuki z przyjemnością zobaczą ją na wsi...

Lidja głęboko była wzruszona tym dowodem współczucia swojej dawnej pani, ale już oddawna postanowiła sobie, że nigdy nie spotka się z panią Justyną.

Drugi list był od kapitana Brinks i zawierał w sobie co następuje:

Najmilsza panno Lidjo!

W dwie godziny po wyjeździe kochanej pani, powróciła do domu moja mała córeczka, którą na rok oddaliśmy do szwagra, ażeby uczyła się razem z jego córkami. Mina skończy nie długo piętnaście lat i więcej powinnaby być zaawansowaną na swój wiek w naukach niż jest obecnie. Ale żona moja utrzymuje, że te małe niedostatki prędko zostaną naprawione, jeżeli tylko panna Lidja, która jest panią co się zowie, zechce u nas przyjąć miejsce nauczycielki z płacą 200 talarów rocznie.

„Żona prosi mnie, abym doniósł pani: po pierwsze, że będzie umiała robić różnicę między stanowiskiem panny służącej a nauczycielki, powtóre, że samaby do niej napisała, ale wiedząc, iż w całym pułku mówiono: „tylko ten niegodziwiec Brinks ma szczęście u kobiet“, dała pokój. Zatem przekonany jestem, że i teraz ze względu, na podane warunki wezwanie moje odniesie pożądany skutek. A tymczasem proszę pani uprzejmie o rychłą odpowiedź.

Z należnym szacunkiem.

Karol Brinks.

Przypisek. Dodaję jeszcze, że zaszywanie rękawiczek należy wyłącznie do mojej córki.

List kapitana dał Lidji wiele do myślenia... Postanowiła, że gdyby w przyszłym tygodniu nie znalazła jeszcze stosownego dla siebie miejsca, to przyjmie ich dosyć korzystną propozycję. Ale to postanowienie tak ją martwiło, że w końcu nie odbierając żadnego listu od ciotki, kompletnie była przygnębioną. Tak przeszedł tydzień... — Jutro mam odjeżdżać!... Nie przypuszczała nigdy, ażeby rozłączenie jeszcze tego samego dnia nastąpić miało.

XVI.

Rozłączenie.

Ogromny był upał na dworze, Lidja włożywszy elegancki letni kostium, w którym jej było bardzo do twarzy, wyszła do portu. Było to po południu, zaraz po przybyciu statku parowego, więc pogrążona cała w myślach o przyszłym pobycie w Hinstorp, chodziła wzdłuż brzegu, na którym roiły się tłumy podróżnych i gości kąpielowych, nie zważając bardzo na ich ciekawe spojrzenia. Oprzytomniała dopiero usłyszawszy za sobą głos pełen radości: Panna Lidja.—Podniosła oczy, Edmund Rozenkraz stał przed nią, prowadząc pod rękę jakąś staruszkę.

— Pan Edmund!

— We własnej osobie, ale niech mi pani powie przedewszystkiem, jak można stać się tak piękną za nie całe dwa lata?

I rzeczywiście Lidja zachwycającą była w tej chwili...

— To jest moja ciotka, panna Marta v. R.— mówił dalej Edmund przedstawiając staruszkę.— Jest to idealnie dobra kobieta, robi wszystko, ażeby wynagrodzić mi brak wszystkich ciotek na świecie.

— Pani wyszła na nasze spotkanie — mówi stara panna podając rękę Lidji z serdeczną otwartością. Ale młoda nasza bohaterka zażenowana bardzo, tylko ucałowała z pokorą jej rękę powtarzając zdziwiona:

— Na państwa spotkanie?

— Ależ kochana ciociu, przerwał Edmund — panna Lidja nie jest wtajemniczona w nasze zamiary. Tymczasem — dodał z widoczną niecierpliwością — zaprowadzę ciocię do mieszkania, aby mogła odpocząć a panna Lidja zaniesie pani majorowej Gyllen ukłony od mojej ciotki, która ucieszy się bardzo, jak się dowie, że będzie miała u siebie na herbacie dawną swoją znajomę i przyjaciółkę. Za pół godziny będę gotów przejść się z panią, panno Lidjo. Prawda, że to doskonała propozycja i pewny jestem, panie zgodzą się na to.

— Ma się rozumieć — odpowiedziała ciotka — a w razie gdyby wasza przechadzka za długo trwała, poszlę majorowej moją pokojowę z powrotem.

— Ah! odpowiedziała Lidja z uśmiechem— jeszcze dosyć czasu do herbaty.

— Niech się pani nie sprzeciwia nigdy mojej ciotce — odezwał się Edmund. — Znana jest wszędzie i szanowana za swoje dobre intencje... A teraz do widzenia za pół godziny!

Młody człowiek zdjął kapelusz i pożegnawszy się z Lidją podał rękę ciotce. Idąc, obracał się kilkanaście razy, ażeby otrzymać choć jedno spojrzenie Lidji, ale przerachował się na teraz, panna nie obejrzała się wcale. Tak była tem nagłem spotkaniem się odurzona, że dziękowała Bogu mając choć te półgodziny samotności, aby się cokolwiek uspokoić. Oznajmiwszy pani majorowej zaproszenie i ukłony, zaledwie zdołała dojść do swego pokoju aby ze wzruszenia nie upaść. Sama nie wiedziała co czuła w tej chwili. Wybuchła płaczem; i to ulżyło jej cokolwiek.

Przypomniała sobie pierwsze chwile ich poznania, rozłączenie i spotkanie na kolei i doszła do przekonania, że każdy list który co miesiąc odbierała od niego przez dwa lata niewidzenia, wzmacniał jeszcze ich wzajemne do siebie przywiązanie. Ale czyż mogła przewidzieć, że owo nieokreślone uczucie objawiające się za każdym

razem przy oświadczeniach, dopiero teraz gdy zobaczyła Edmunda zostało wyjaśnione?

Rozmyślając w ten sposób Lidja, dzięki wrodzonej kobietom energii i silnej woli, odzyskała wkrótce zupełny spokój. Za to Edmund wchodząc do jej pokoju był bardzo zmieniony; milcząc wziął Lidję pod rękę i zaprowadził do ogrodu w miejsce najbardziej ocienione drzewami, gdzie już swobodnie rozmawiać mogli.

— Lidjo!—odezwał się nareszcie wpatrując się namiętnie w oczy zmięszanej dziewczyny— Lidjo, czy wiesz dlaczego tak dawno nie pisałem do ciebie?

— Nie — odpowiedziała cicho drżąc cała.

— Dlatego, że umówiłem się z twojemi ciotkami które zawsze posiadają całe moje zaufanie, że pojadę do A. i wyszukam cię aby powiedzieć to, na co dziś jestem zdecydowany. Ale gdy opuściłaś dom kupca, postanowiłem tu za tobą przyjechać. Obawiałem się, że donosząc ci o tem zechcesz mi odmawiać od tego, z drugiej strony już nie mogłem dłużej milczeć i bądź co bądź postanowiłem rozmówić się z tobą ostatecznie.

— Milczenie to było dla mnie—rzekła Lidja i umilkła.

— O mów dalej, błagam... milczenie to było ci bolesnem?

— Nie byłam do tego uprawnioną.

— Czy na to potrzeba prawa? — I mnie przez te dwa lata dręczyły, zazdrość, niepokój i obawa... a czy prosiłem kiedy o pozwolenie zachowania tego uczucia?...— dodał z tak zwodniczym uśmiechem, że Lidja zawstydzona zmuszona była zaczęte zdanie dokończyć:

— To by nie było tak trudno.....

— Dziękuję, serdecznie dziękuję!..... ale słuchaj moja najdroższa. Wziąłem teraz dzierżawę na lat trzydzieści: jestto piękny majątek, ogromny ogród, wygodny dom mieszkalny. Doskonałe przytem grunta i niecałe pół milki od miasta. Już na wiosnę wiele bardzo miałem tam pracy i nigdzie z domu ruszyć się nie mogłem; ale pokonałem moją niecierpliwość obiecując sobie, że odniesionymi zyskami powetuję sowicie moją pracę i nudy, a gdyby te zawiodły, myślałem już o szczęściu, jakiem za rok najdalej cieszyć się będę.

Umilkł i starał się uchwycić choć jedno spojrzenie Lidji ale na próżno. Oczy jej bezustannie były spuszczone. Po chwili zatem dodał łagodnie:

— Ale to przechodziło moje siły; jeszcze rok cały żyć z daleka od ciebie. I możesz sobie wyobrazić moje szczęście gdy spotkałem ciotkę. Zgodzisz się pewnie teraz jechać z nami do Sztokholmu i ten rok zabawić u ciotki.

Lidja przy tych słowach spojrzała na niego.

— Nie jestem w stanie zrozumieć wszystkiego—odpowiedziała.

— Moja najukochańsza Lidjo — przez całe dwa lata starałem się wszelkiemi siłami, ażeby oszczędzić ci owych oświadczeń, których i tak uniknąć nie mogłaś; gdyż od dnia, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy w Stefanhow uważałem się za twego narzeczonego. Prawda i ty wiedziałaś o tem, że ja cię kocham?

— Wtedy nie wiedziałam; aż dopiero gdy na stacji rzuciłeś mi białą różę na pożegnanie do wagonu domyśliłam się trochę.

— I ja także pewny byłem, że mię zrozumiałaś, ale byłaś jeszcze tak młoda a przytem ja nie miałem stałego utrzymania, że poczytałbym sobie za zbrodnię wiązać cię jakiemkolwiek zobowiązaniem. Teraz, jeżeli pozwolisz, nazwę się twoim narzeczonym, bo to najdłużej rok potrwa, a przytem będę mógł być często przy tobie... Nie uwierzysz, jak się bałem tego pana Adrjana, zwłaszcza gdy zaczęłaś mu czytywać dzienniki.

— Jestto dobry i szlachetny człowiek jakich mało zdarzyło mi się spotkać. To kosztuje mię...

— Nie mów dalej!... proszę. Jestem zupełnie co do tego spokojny, bo wiem, że pocieszy się wkrótce tą młodą panią, która tak gorliwie zajmuje się jego dziećmi, zobaczysz, że mam rację.

— Daj Boże.... a wtedy dzieci dobrą będą miały matkę.

— Na cóż mamy teraz mówić o innych... powiedz mi otwarcie, że szczerze podzielisz ze mną los, jaki cię ofiaruję. Nie jest on wprawdzie tak świetny jaki ci przedstawiłem jeszcze w Stefanhof w drodze do kościoła.

— Przypominam sobie dobrze— a ja mówiłam wtedy, że nigdybym nie poszła za człowieka bardzo bogatego ani też za zupełnie ubogiego....

— .... A ja, dodałem, że może znaleźć się taki, który nie będąc bogatym, jest jednak w stanie ofiarować żonie przyzwoite utrzymanie, do czego, ma się rozumieć i żona sama przyczyniać się powinna... Czyż może być co przyjemniejszego dla mężczyzny, jak starać się o dobrobyt kobiety, którą uwielbia i kocha nadewszystko. Na cóżby się nam zdały bogactwa, gdyby miłość nie istniała?— Panno Lidja, proszę raz jeszcze, powiedz pani, czy zgadzasz się na moją prośbę?

— Zdaje mi się— odpowiedziała z uśmiechem a jednocześnie ze łzą w oku, — że sam sobie odpowiedziałeś podczas całej rozmowy. Bądź więc wspaniałomyślny i uważaj, że masz zezwolenie moje! Przez te dwa lata rozłączenia tęskniłem bardzo za twem wiernem i szlachetnem sercem.

Nie potrzebujemy zapewniać, że majorowa i ciotka Marta już dawno wypiły herbatę i odświeżyły wszystkie wspomnienia młodości nim młodzi narzeczeni wrócili do domu. Zbytecznem byłoby także opisywać smutek kapitana Brinks gdy się poczciwina przekonał, że jest kobieta która oparła się jego prośbom.

W końcu możemy powiadomić szanownych czytelników, że pani Justyna zemdlała dowiedziawszy się od hrabiny o zaręczynach Lidji z Edmundem, a pan dziedzic ułożył sobie zaraz projekt, że poszle synów na wieś do młodego małżeństwa, aby tam dokończyli wychowania.

Wypada jeszcze nam dodać, że Edmund i jego narzeczona na których wesele już rok cały ciotki Lidji robiły przygotowania, zaproszeni zostali do miasteczka A. na uroczystość zaręczyn pana Adrjana H. z panną Karoliną Haller.

— Ah! Bogu dzięki — zawołała Lidja gdy narzeczony przyniósł jej tę wiadomość.

— Ja także Bogu dziękuję — odpowiedział wesoło Edmund,— bo teraz będziesz tylko o mnie i o ciotkach myślała.

Dobre kobieciny podarowały Lidji przy weselu wszystkie oszczędności, — gdyż teraz — mówiły— naprawdę udajesz się na drogę życia.

AWANTURNICZA WYPRAWA DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

VII.

— Może pana spotkać dwojakie niebezpieczeństwo — rzekł jen. Gołowin Burnabyemu na pożegnanie; — albo staniesz się pan łupem zbójeckich band kirgizkich, włóczących się po stepie, albo też dostawszy się w ręce chana Chiwy, zostaniesz wtrącony do więzienia. A kto wie jeszcze czy i oczu panu chan wydłubać nie każe? Kto to może zaręczyć. Chan Chiwański to takie dzikie zwierzę, jakiego z pewnością nie ma w najdzikszym zakątku Afryki. Przecież wypowiedzieliśmy mu wojnę, najechaliśmy jego posiadłości i zrobiliśmy go naszym lennikiem dla tego tylko, aby ukrócić jego samowolę. Niepodobna nam było żyć z nim spokojnie jak przystało sąsiadom. Ilekroć razy który z kupców naszych zajrzał do jego państwa, natychmiast go chan wieszać kazał pod pretekstem, że to pewno nasz szpieg. W takich warunkach i wobec takiej podejrzliwości chana o przyjaźni mowy być nie mogło. Najmiłościwiej zaś nam panujący car, nie mógł pozwolić, aby tak niegodziwie postępowano z jego poddanymi. Wypowiedzieliśmy więc chanowi wojnę, zniszczyliśmy jego armję, odebraliśmy mu wszystką broń jaką posiadał, ażeby go pozbawić środków zakupienia nowej i zarazem aby powetować sobie koszta tej ekspedycji, kazaliśmy mu płacić roczny haracz w kwocie 250.000 rubli w złocie. Niewielka to wprawdzie suma, ale chanowi mocno daje się we znaki, bo co pan chce, kraj biedny, ziemia niurodzajna, mało zaludniona, zkąd tu wycisnąć 250.000. To też chan zajmuje się rozbojem, żeby tę kwotę uzbierać; napada na karawany kupieckie, jak jaki rycerz średniowieczny, morduje kupców, zabiera ich majątek i z tego żyje. A jego stolica! pożal się Boże, nora zbójecka i nic więcej. Żeby nie pańska ojczyzna, dalibyśmy już sobie dawno z nim radę; ale cóż kiedy Anglja nie pozwala nam zabrać Chiwy. A znowu za ten szmat dzikiej pustyni nie warto z wami wojny prowadzić. Ale zawsze już teraz jesteśmy spokojniejsi. Nad granicą Chiwy, na prawym brzegu Amu-Darji, wybudowaliśmy twierdzę Pietro-Aleksandrowsk, której załoga trzyma Chana w respekcie. Dlatego też minister wojny, pragnąc aby ze strony chana nie groziło panu żadne niebezpieczeństwo, nakazał mi telegrafem, dać panu konwój, aż do fortu Pietro-Aleksandrowsk. Ztamtąd, od komendanta twierdzy, otrzyma pan konwój do Chiwy, stolicy Chana, a w ten sposób Chan nie będzie już miał odwagi postąpić z panem po swojemu. Aby się pan tylko dostał pomyślnie do tego fortu i nie popadł ani w ręce Kirgizów, ani też w ręce Chana, bo trzeba panu wiedzieć, że ten rozbójnik dotąd utrzymuje, iż prawy brzeg Amu-Darji także do niego należy, pomimo, że przecie jasną jest rzeczą, iż gdzie nasz fort znajduje się, tam i ziemia nasza.

— Więc Chan z bandami swojemi dopuszcza się rozbojów i na prawym brzegu Amu-Darji?

— Ale jakże i to bardzo często, ot nie dalej jak miesiąc temu urządził ekspedycję rozbójniczą i napadłszy na ordę kirgizką zabrał wszystko bydło pod pretekstem, że to bydło należy do jego

poddanych, i że je Kirgizi zrabowali na lewym brzegu Amu-Darji. Nie ma pan pojęcia co my z nim mamy kłopotu i ostatecznie pierwej czy później będziemy musieli Chiwę zagarnąć, bo naprawdę nigdy do ładu nie przyjdziemy z tak niewygodnym sąsiadem.

— Ale, jak panowie zagarniecie Chiwę, to znajdziecie się w niemiłem sąsiedztwie z Chanem Buchary; wkrótce więc okaże się potrzeba zagarnąć Buchary, żeby kres położyć mniemanym rozbojom Chana Bucharskiego. Potem kolej przyjdzie na Afganistan, którego emir także w rozboje będzie się bawić. I tak dalej postępując ciągle i rozszerzając coraz dalej swe zabory, aby nowemi zabezpieczyć dawne, dotrzecie chyba do morza Indyjskiego.

— Bo też ja panu otwarcie powiem, że nie ma lepszych granic nad morskie. Co tu darmo gadać, najlepszy właśnie przykład pańska ojczyzna. Gdyby Anglja nie była ze wszech stron otoczona morzem, czyby dorosła do tej potęgi, jaką posiada obecnie? Mojem zdaniem, każde państwo powinno dążyć do tego, żeby jak najmniej miało granic suchych, lądowych, a jak najwięcej morskich. Im bowiem dłuższa granica sucha, tem drożej kosztuje jej obrona; im zaś więcej posiada państwo granic morskich, tem mniej obrona terytorjum obciąża jego budżet. Co więcej, powiedziałbym nawet, że niektore narody dla tego właśnie upadły, że w dziejowym swym rozwoju nie odgadły instynktowo znaczenia granic morskich. Weź pan np. Polaków. Na północy dali się Niemcom oddzielić od morza, na południu zaś nigdy nie starali się dobić do brzegów morza Czarnego, pomimo, że bywały momenta, kiedy te brzegi same napraszały się aby je zabrali. My tego błędu co Polacy popełnić nie możemy i dla tego wszystkie nasze zabory w Azji środkowej uważamy za środek a nie za cel. Celem zaś naszym jest morze i jeżeli nie Indyjskie, to przynajmniej Perska zatoka.

Z historjozofią jen. Gołowina można się zgadzać lub nie, stosownie do woli i widzi mi się. Ale niepodobna mu nie odmówić, że godnie zająłby posadę Gorczakowa. Jest nawet dużo werwy w jego poglądach.

Ale dla Burnabyego oprócz werwy, miały one jeszcze tę zaletę, że dawały mu wyraźnie do zrozumienia, iż rządowi moskiewskiemu zależy na tem, aby on w podróży swej do Chiwy zahaczył o fort Pietro-Aleksandrowski. W te wrzekome okrucieństwa Chana trudno jakoś uwierzyć — rozumował sobie Burnaby — za nadto są one przesadne, aby były prawdopodobne. Wprawdzie wśród możnowładców azjatyckich spotykają się dość często ludzie okrutni, a zwłaszcza spotykali się dawniej, ale zwykle sława o nich, przechodząc z ust do ust, rozchodzi się wkrótce po całej Azji, dochodzi do Indji i napiętnowana zostaje w prasie tamecznej. Tymczasem o Chanie chiwańskim nigdy nic złego dzienniki indyjskie nie pisały. Przeciwnie wspominały zawsze o nim z wielką sympatją, z jednej strony wynosiły szlachetność jego umysłu, z drugiej litowały się nad nieszczęśliwym losem, który go skazał na sąsiedztwo z carem *Moskowów*. A przecież karawany kupieckie z Chiwy przecinają cały Afganistan i dochodzą w jednym kierunku aż do Indji, w drugim aż do Persji. Byłyby więc one niezawodnie opowiedziały coś o okrucieństwach Chana, gdyby choć część tego, co prawi Gołowin było prawdą. Widocznie więc Moskale przez rozsiewanie potwarzy na Chana chcą przygotować opinję publiczną Europy i z góry uzyskać przebaczenie za zabor Chiwy, do którego dążą systematycznie. Chan bronić się nie może i zresztą nie umie, a Europa tak snadno wierzy wszystkiemu, co jej podają płatne przez rząd carski dzienniki.

W danym razie rzucanie potwarzy na Chana miało jeszcze i tę dobrą stronę, że mogło przestraszyć Burnabyego i skłonić go do obrania drogi na fort Pietro-Aleksandrowski. W owym forcie Burnaby zostałby zaaresztowany pod pierwszym lepszym pretekstem i musiałby *décamper au milieu du chemin*, nie dotarłszy do celu swojej podróży.

Wypadało więc koniecznie ominąć fort Pietro-Aleksandrowski, ale jakże tu zrobić, kiedy dwaj Kirgizi, nastręczeni przez Gołowina za przewodników Burnabyemu, ani słyszeć nie chcieli o obraniu innej drogi do Chiwy. Gołowin ich wybrał, zgodził i zagroził im karą 500 bizunów, jeżeli kapitana angielskiego nie doprowadzą do fortu. Wdawać się z nimi w pertraktacje nie było rzeczą roztropną, albowiem wszelka propozycja ze strony Burnabyego, nie licująca z rozkazem Gołowina, dałaby im do myślenia, iż owa kara nie na żarty została im zapowiedziana. Trzeba zatem było rzecz tę tak przedstawić, iż pomiędzy Burnabym a Gołowinem istnieje zupełna zgodność dążności i że kara owa wtedy tylko ich spotka, jeżeli w czemkolwiek narażą się Burnabyemu. Przeciwnie zaś, jeżeli wszystko będą spełniali po jego myśli, natenczas i od Gołowina uzyskają zupełną aprobatę. A w tym celu nie tylko nie wypadało zdradzić jakiejś obawy przed podróżą do fortu, ale natomiast należało zrazu kłaść silny nacisk na to, aby koniecznie wiedli drogą prowadzącą do niego, a dopiero potem, przy bliższem poznaniu się w ciągu długiej wędrówki, wynaleźć jakiś pretekst, i przy danej sprzyjającej sposobności zboczyć wprost do Chiwy. Tym sposobem rozwiane by zostały podejrzenia i obawy Kirgizów, a Burnaby pomimo zabiegów Moskali dopiąłby zamierzonego celu.

Na wyszukiwanie upragnionego pretekstu miał on sporo czasu, niemal dwa tygodnie przed sobą. Ale zrazu nie bardzo mu się jakoś powodziło. Kirgizi wyraźnie dawali do zrozumienia, że im także zależy na podróży do fortu.

O parę mil na południe od Kazali rozpoczyna się Kizilkumski step i ciągnie się aż do Amu-Darji, stanowiącej teraz granicę między posiadłościami Rossji a Chanatem Chiwy. Jednakże step ten był kiedyś okolicą żyzną, bogatą, gęsto zaludnioną; wzdłuż i wszerz przecinały go liczne kanały, których teraz istnieją tylko ślady, dające wysokie wyobrażenie o stopniu, na jakim stało rolnictwo u owych prastarych mieszkańców środkowej Azji. Cała trójkątna połać ziemi zamknięta między Syr-Darją a Amu-Darją, wsparta zaś podstawą na Aralskiem morzu, była pokryta zrazu bujnym lasem i posiadała zarówno bogatą faunę jak i florę. Łańcuch gór Kara-Tus, wprawdzie nie zbyt wysokich ale za to porosłych także bujnym lasem, zakrywały ją od północy; góry zaś Kara-Tau, będące wysuniętą odnogą Hindokuszu i o wiele już wyższe od poprzednich, osłaniały od wschodu. Tym sposobem ujęta w te dwa górskie ramiona, a odsłoniona od południa i zachodu, okolica ta posiadała klimat łagodny, w miarę wilgotny, o porach roku zmieniających się stopniowo, nieznacznie, o latach wcale nie upalnych i o zimach nie zbyt ostrych. To też rolnictwo musiało kwitnąć wysoko, bogata ziemia dostarczała obfitych plonów, ludność się rozmnażała, osady zmieniały się we wsie, wsie w miasteczka, miasteczka w miasta, aż wreszcie wszystko runęło w gruzy... z powodu przeludnienia i wytrzebienia lasów.

Dla nas dzieje Kizilkumskiego stepu mogą być cenną przestrogą, albowiem los, który go spotkał, spotka prawdopodobnie i naszą ziemię. Nasza ojczyzna płynęła także kiedyś mlekiem i miodem. Dziewicze lasy pokrywały niezmierzone obszary, a znajdujące się wśród nich nagie polanki miały klimat tak łagodny, że nawet winne grono dojrzewało w niektórych okolicach jak np. we Lwowie i w całym lwowskim powiecie. Ale zrazu lasy te trzebiono, nie dla drzewa, bo z niego żadnego nie robiono użytku, ale dla stworzenia roli ornej, zupełnie jak w Kizilkumie. Ludność się zwiększała, trzeba więc było powiększyć zasoby żywności i trzebiono puszczę, aby grunt zbożem zasiewać. Tak trwało wieki, bo trzeba wiedzieć, że takie trzebienie z naturalnej potrzeby i pod wpływem naturalnych czynników nie jest nigdy tak barbarzyńskiem, jak to niszczenie lasów, które się zaczęło odbywać w następnym okresie, a które nie wypływa z rozmnożenia się ludności, lecz ma jedynie kupieckie cele na oku.

U nas w skutek tego kupieckiego trzebienia, z którego główny zysk osiągnęli Niemcy i Żydzi, więcej w przeciągu ostatniego stulecia zniszczono lasów niż przez cały ten perjod, w którym je wyrębywano, aby dostarczyć pola ornego dla dorastających pokoleń. Czy i dawniejsi mieszkańcy Kizilkuma kupczyli lasami, to trudno odgadnąc z tych śladów, jakie pozostały po nich. To wszakże pewna, że lasy wycięli, a cały kraj swój przekształcili w rolę. Zaczęły więc wichry wschodnie i północne igrać swobodnie po ich nagiej i równej jak stolnica ojczyźnie. Klimat się zmienił, nastały posuchy z jednej strony, z drugiej gwałtowne wylewy owych dwóch rzek, leżących na bokach trójkąta ich ojcowizny — Syr-Darji i Amu-Darji — znikła wiosna i jesień, te dwie przejściowe klimatyczne formy, a pozostało tylko upalne, znojne jak w Saharze lato i mroźna jak w Syberji zima. I kiedy dawniej, sądząc z rozmaitych wskazówek, wnosić wypada, że krańcowe stopnie temperatury sięgały latem najwyżej do 20° stopni ciepła, a zimna do 18 stopni mrozu, to dzisiaj doszło do tego, że fluktuacje termetryczne bujają swobodnie wzdłuż całej skali zamkniętej między 42 stopniem zimna a niemal 40 stopniem suchego, zabójczego upału.

W takich warunkach ziemia nic rodzić nie mogła, a w skutek nieurodzajów ludność w części się wysiedliła, w części wymarła z głodu. I tym sposobem z gęsto niegdyś zaludnionego kraju, dużego jak Francja, powstał step nagi i bezwodny, przecięty w rozmaitych kierunkach suchemi łożyskami dawnych irrygacyjnych kanałów. Moskale po zdobyciu Kizilkumskiego stepu żywili zrazu plan przywrócenia go do stanu dawnej świetności, zwłaszcza, że ziemia dotąd przedstawia wszystkie odpowiednie ku temu warunki. Jest i dzisiaj jeszcze tak dalece urodzajną, że w perjodzie południowych lub zachodnich wiatrów, brzemiennych w burze deszczowe, pokrywa się rozmaitemi trawami, których ziarna wiatr zozsiewa na stepie lub ptaki przynoszą na swych łapkach. Trawę tę po przejściu perjodów deszczu, słońce wypala w perjodzie posuchy. Żeby więc przywrócić urodzajność stepowi należy tylko połączyć istniejące już od wieków a tylko zaniedbane irrygacyjne kanały z Syr-Darją i z Amu-Darją, tym sposobem dostarczyc mu wody i następnie zasiać go lasem i mchem.

Po latach dwudziestu pokryłby się step gęstą puszczą i przywrócona byłaby jego dawna świetność. Ale ta operacja odjęłaby niemal wszystką wodę owym dwom rzekom i przez cały ten czas wzrastania i wzmocnienia się puszczy zdegradowałaby je z roli głównych arteryj komunikacyjnych do roli skromnych strumyków. Owoż na to Moskale zdecydować się nie mogli. Inna rzecz, gdyby już kolej żelazna łączyła Kazalę z Taszkientem; wtedy chętnie pozbyliby się na lat 20 Syr-Darji, ale dzisiaj rzeka ta jest jedyną drogą taniego transportu towarów i osłabienie jej spławności podcięłoby cały handel środkowej Azji.

Step ten nie jest jednak zupełnie bezludny. Są na nim tu i ówdzie małe oazy. Dziwnie bowiem natura urządza czasami swoje dzieła. Nieraz badając jej formacje przychodzi się do przekonania, że scholastycy mieli rację utrzymywać, iż nie lubi ona próżni. Przynajmniej decyduje się ona tworzyć step, pustynię, w takim tylko razie, gdy już gwałtem człowiek postawi sobie za zadanie zniszczyć życie roślinne. Tak się stało i tutaj. Natura walczyła z człowiekiem, stawiała przeszkody jego destrukcyjnej dążności i aby podtrzymać życie lasów, których on takim jest wrogiem, pośrodku pomiędzy Syr-Darją a Amu-Darją, niemal w równej odległości od obu tych rzek, przecięła step Kizilkumski trzecią rzeką, Jeni-Darją albo Janu-Darją, która lubo i w najświetniejszych swych czasach była niewątpliwie mniejszą od swych towarzyszek, zlewających tak jak i ona wody swe do Aralskiego morza, niemniej przecie, jakkolwiek uboższa od tamtych musiała być jednak dość pokaźną rzeką. Przynajmniej tak sądzić wypada z rozmiarów suchego jej dzisiaj łożyska i z tych licznych dopływów, które jej dawniej haracz płaciły a dzisiaj jak ona ruiną świecą.

(C. d. n.)

Ucisz się serce!

Ucisz się serce! — swoich strat
Już nie opłakuj stroskane,
Ale wschodzący pozdrów świat,
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiośnie.

Pozdrów pokoleń przyszły ród,
Ich myśli, pragnienia, cele,
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,
Na naszym wzrosły popiele.

Pozdrów kłos złoty nowych pól,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból,
I wiecznie nowe błękity.

Pozdrów tych wszystkich wiernych sług,
Co twardą pracą i znojem
Płacą ludzkości święty dług,
O szczęściu nie myśląc swojem;

I tych, co będą światło nieść
Do chat, gdzie ciemni i głodni —
Co będą walczyć, aby zgnieść
Widziadło nędzy i zbrodni.

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,
Który zaledwo widnieje,
W ich ręce swoją wiarę złóż,
Swą miłość i swą nadzieję.

Szczęście, za którem dzisiaj ty
Napróżno tęsknisz i czekasz,
I nieziszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez
Szlachetne dążenia wplata.

A snuć się będzie złota nić,
Chociaż ty spoczniesz w mogile...
I będziesz nowem życiem żyć,
W młodzieńczej barwie i sile.

Wszędzie coś z swoich znajdziesz snów,
Z straconych uczuć i rojeń,
I z kochankami będziesz znów
Pić słodycz świeżych upojeń,

Będziesz — gdzie ludzkiej myśli zdrój
W niepowstrzymanym rwie biegu...
Gdzie się o wolność toczy bój
W walczących staniesz szeregu.

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz — i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los
I przynieść szczęście swej ziemi;

I do wieśniaczych zstąpisz chat,
Uczucia budzić nieznane...
Więc nie opłakuj swoich strat,
Pociesz się serce stroskane!

El...y.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Znowu usiadłem z książką i cygarem czując w sobie przynajmniej to wewnętrzne zadowolenie, jakie towarzyszy spełnianiu ciężkiego obowiązku. Za małą chwilkę Edwardek wśliznął się do pokoju. Udałem, że go nie spostrzegam, ale bynajmniej się tem nie zniechęcił.

— Wujciu Harry — zaczął łasząc się między mną a książką — tak mi jakoś smutno.

— Czemuż to, pieszczochu? — spytałem. Zanim otworzył usta, z najzimniejszą krwią byłem w stanie wytargać go za uszy, ale gdy tylko za szczebiotał swym słodkim, a teraz czegoś smutnym głosikiem, serce moje wzruszyło się tym wdziękiem dzieciństwa.

— Oh, sprzykrzyło mi się już bawić z Charley'em, i tak mi jakoś smutno. Nie opowiesz mi czego, wujciu?

— A cóż będzie biedny Charley przez ten czas robił?

— Jemu tam wszystko jedno; ma zdechłą mysz na Jonasza, to już się bezemnie obejdzie; i to mnie już także nie bawi. Powiesz mi powiastkę?

— A którą?

— Powiedz taką jakiej nigdy nie słyszałem.

— No, to ci chyba opowiem o...

Zdaleka, ale groźnie odezwał się płacz Karolka; zbliżał się, schodził po schodach, wdzierał się do biblioteki, a wkrótce za nim wlazł on sam, i na mój widok podniósł jak prorok obie ręce w górę, i zawołał:

— Jonasz sobie złamał ogon!

Było to dosyć prawdziwe: chłopak w jednej ręce trzymał nieżywą mysz, a w drugiej urwany jej ogon, przyczem niezbyt miła woń rozchodziła się po pokoju.

— Charley'u — rzekłem, — idź prędko ciśnij Jonasza do śmietnika, a dam ci cukierków.

— Mnie także, mnie także! — wrzasnął Edwardek, — bo to ja mu mysz znalazłem.

Uszczęśliwiłem obu chłopców cukierkami, i gdy w zamian uzyskałem obietnicę, że nie będą wychodzić na deszcz, wypuściłem ich na werandę, a sam wróciłem do książki, i ze dwanaście kartek przeczytałem spokojnie. Nie więcej jednak, bo znowu usłyszałem wiekuisty płacz Charley'a, idący od cichszych tonów w coraz to wyższe crescendo. Porwałem się jak szalony z silnem postanowieniem przywiązania obu chłopców do krzeseł, i zalepienia im ust asekurującym od krzyku plastrem.

— Edwardek chciał mi zjeść karmelek — skarżył się Charley.

— Nie prawda. Nie chciałem zjeść.

— Cóż więc chciałeś z nim zrobić Edwardku,

— Nie ugryzłem ani kawałeczka — tylko chciałem się przekonać czy będzie twardy pod zębami.

Czułem, że mi się usta załamują do śmiechu, a chciałem być surowym, uciekłem więc do siebie rozmyślając nad tem, jak demoralizującem jest gdy złe ma komizm w sobie. Przez czas jakiś chłopcy nic nie zbroili żadnego figla, tylko hałasowali i tupali bucikami tak piekielnie, że postanowiłem gdybym kiedy posiadał dworek wiejski, w jakikolwiekbądź sposób kazać wyłożyć dywanem posadzkę werandy. W krótkich przerwach, jakby dla odpoczynku, dochodziły mnie urywki pocieszynych rozmów. Chłopcy pochwytali z rozmów starszych osób różne wyrazy, których znaczenia widocznie nie rozumieli i przekręcali je najśmieszniej w świecie. Dziwiło mnie nie raz czemu Tom i Helena nie uważali na to. Między innemi uderzyło mnie słowo „boszczyk“ — nie mogłem się domyśleć coby to miało znaczyć. Edwardek wołał:

— Oh, Charlu! — jedzie boszczyk! — patrzaj, ot tam, gdzie się tak te wszystkie wisiorki trzęsą jak kogucie ogony, pod nimi jest boszczyk.

— Jak to śmieszne! — cieszył się Karolek.

— A widzisz, co tam ludzi za nim idzie? oni znają tego boszczyka, i chcą teraz zobaczyć jak go będą zakopywać. Tędy idą! He, hola! boszczyku!

— Hola! boszczyku! — wtórował Charley.

Cóż mogło „boszczyk“ znaczyć?

— Patrz, patrz! oto jest wprost przed nami, — krzyczał Edwardek. „A co? nie mówiłem, że dużo ludzi? I dwa konie ciągną boszczyka; są boszczyki co mają tylko po jednym.

Ciekawość moja przemogła znużenie, wyjrzałem przez okno, i spostrzegłem, tuż przed naszym domem przesuwający się zwolna pogrzeb! W jednej chwili byłem na werandzie, i jednocześnie obaj malcy przeniesieni za kołnierze, znaleźli się w zamkniętym pokoju, a obie moje ręce zajęte były zatykaniem dwojga wrzaskliwych usteczek; i to tak, dopóki obchód pogrzebowy naszego domu nie minął. Wtenczas uwolniłem owe usteczka, a dwa przeciągłe wycia były pierwszem podziękowaniem za mój trud.

Zapytałem Edwardka, jak się nie wstydzi tak wesoło i głośno rozmawiać, gdy tuż obok pogrzeb przechodzi?

— To nie żaden pogrzeb; to tylko boszczyk jechał, a boszczyki nic nie słyszą.

— Ale ci wszyscy co za nim jechali mogli usłyszeć.

— Oh,—odpowiedział—oni tak się cieszyli, że jedna połowa boszczyka poszła do nieba, że ich nie obchodziło co mówiłem. Każdy się cieszy gdy jedna część boszczyka idzie do nieba. Tata powiedział żem się powinien cieszyć, że mały Frank poszedł do nieba, i ja się cieszę, ale chciałbym bardzo nazad go zobaczyć.

— Chciałbym bardzo nazad Franka zobaczyć—powtarzał Charley—gdy ja całowałem Edwardka, i odchodziłem do biblioteki, zbyt rozbrojony żeby módz w tej chwili dalszej udzielać nagany. Tylko coraz serdeczniej pragnąłem, żeby się choć trochę rozpogodziło, i dzieci mogły wyjść do ogrodu. Ale niebo było jednostajnie zachmurzone, dzieci się o coś głośno na schodach sprzeczały, a ja zaczynałem się czuć naprawdę zniecierpliwionym.

Naraz przyszła mi myśl wyśmienita: przypomniałem sobie, że jedną z moich najmilszych zabaw w dzieciństwie, było naklejanie obrazków w niezapisanych regestrowych książkach. W jednej z szuflad hibliotecznych był skład „Dziennika Mód“ z lat kilku; w szafce stał słoik rozgotowanego karuku; a dzieci posiadały parę starych nożyczek. Czegoż więcej potrzeba? Poświęcę jeden z tomów dziennika; wprawdzie Helenka chce je dać oprawić, ale czyż nie mogę odkupić jej kompletu? nie za wysoka to zapłata za parę godzin spokoju. Pokazałem uszczęśliwionym chłopcom jak mają się brać do wycinania figurek i obrazków, dałem im zbywającą księgę agencji handlowej, i zostawiłem ich z tem wszystkiem rozłożonych na posadzce dziecinnego pokoju. Całą godzinę spędziłem najspokojniej w świecie z moją nowelą w ręku, a dzieci nie dały się słyszeć ni razu. Cóż dziwnego, myślałem sobie, że póki ich zostawiłem własnemu przemysłowi musieli płatać psoty. Oto jest korzyść z zajęcia zarazem rąk i umysłu dzieci. Ale najczęściej nikt o tem nie pomyśli, a potem dopiero gniewają się, jak ja sam niedawno, na te biedne, opuszczone stworzeńka, że idą za pierwszym popędem swawoli!—Potrzebowałem świeżego cygara, wstałem więc by pójść po nie do mego pokoju. Po drodze zobaczyłem, że Edwardek napuścił wodą zbiornik umywalni, i pławił w niej szczotki od włosów w miejsce okrętów. Wydało mi się to zbyt niewinną rozrywką abym jej potrzebował zabraniać, przeszedłem więc do mego pokoju nie przeszkadzając mu wcale. Przez drzwi usłyszałem głos Charley'a, a ponieważ mi Helenka już dawno mówiła, że warto posłuchać jego rozmów z samym sobą, przystanąłem na chwilę przed drzwiami. Karolek mruczał z cicha:

— Tak śliczna pani, siedź sobie tam; a ty mały chłopczyku chodź tutaj, posadzę cię koło twojej mamy, bo mamy lubią mieć swoich synków koło siebie. A ty siostrzyczko małego braciszka siadaj po drugiej stronie. Tak. Teraz mamo chłopczyka i dziewczynki musisz być bardzo szczęśliwa: prawda, że ze mnie bardzo dobry człowiek, że ci tak daje twoje dzieci. Powiedz— dziękuję ci Charley'u, jesteś ślicznym i grzecznym gentlemanem.

Otworzyłem drzwi ostrożnie, ale za pierwszem wewnątrz spojrzeniem, wszedłem coprędzej do pokoju. W pierwszej chwili nie byłem w stanie przemówić, tak się czułem przerażony, czekającą mnie tam niespodzianką: Jako nowy dowód twórczości ducha Charley'owego, ciągnął się długim pasem, po ślicznem, różowem obiciu pokoju, ulubionego gabinetu Heleny, szereg krzywo poprzylepianych rycin. O błogosławione zajęcia zarazem rąk i umysłu dzieci! — Tam gdzie drzwi do sypialnego pokoju chłopców przerywały ścianę, artysta poradził sobie zamykając je, i prowadząc swoje dekoracje nieprzerwanym szeregiem przez oba ich skrzydła. Były tam i głowy, i krajobrazy, i rysunki humorystyczne, i wzory mód różnych, i rodzajowe obrazki, porozmieszczane nawet w dość równej wysokości. Przypadkowo jedna z rycin odpadła od ściany, ale wierniejszy karuk, świecił się lepki i błyszczący na tem miejscu. A jednak tak dalece nie poruszony zostałem tym efektem artystycznym, że gdy zebrawszy mdlejące siły, zdołałem nareszcie krzyknąć! „Charley'u!“ było to z taką wibracją w głosie, że mały złoczyńca przestraszony upuścił swój słoik karuku, na szklniącą posadzkę gabineciku.

— Co mama na to powie? — spytałem.

Karolek patrzał przez chwilę niepewny, a potem pytający w twarz moję, ale nie znalazłszy w niej widać odpowiedzi ani współczucia, wybuchnął we łzy mówiąc:

— Nie wiem.

Wtem odezwał się dzwonek wołający na drugie śniadanie, i Charlej w jednej chwili ze łzawego cheruba stał się praktycznym chłopakiem; wołając: „Za mną Edwardku!“ puścił się ze schodów, a ja mozoliłem się aby jak najprędzej usunąć o ile się da szkodę przez niego zrobioną.

Muszę przyznać moim siostrzeńcom, że umieli się zachowywać dosyć cicho podczas jedzenia; bo choć ich pewnie języczki świerżbiały do mówienia, ale że jeść bardzo lubili, a obu tych arcy miłych czynności nie można było razem połączyć, nie wahali się w wyborze, i zapakowywali buzię tem co tylko było pod ręką. Tym sposobem i teraz zyskałem spokojne półgodziny. W chwili gdym się zabierał do rozkrajania melona, Edwardek zawołał przerywając milczenie:

— Oh, wujciu Harry! — jeszcześmy dziś u kozła nie byli!

— Po śniadaniu zaprowadzę cię do niego pod parasolem, i jeźli zechcesz, będziesz mógł się z nim bawić do wieczora — odrzekłem.

— Ach, to doskonale! — Biedny koziołek, on sobie mysli, że ja go wcale nie kocham, kiedy dziś jeszcze nie byłem u niego. Wujciu, czy kozły idą do nieba po śmierci?

— Sądzę, że nie — zawadzałyby tam w ślicznych, złotych ulicach.

— Mój Boże! — więc Frank nigdy nie będzie mógł widzieć mego kozła? — jakże mi żal!

— Za to ja mogę widzieć twego kozła Edziu — podsunął Charley.

— Co mi tam — rzekł bardzo pogardliwie Edwardek, — tyś nie umarł.

— Poczekaj, poczekaj — umrę ja kiedyś także, a wtedy twój szkaradny kozioł wcale mnie widzieć nie będzie, zobaczysz jak mu to będzie smakować.—I Charley zamierzył się na kawał melona, prawie tak duży jak jego głowa.

Po skończonym posiłku, Charley poszedł spać jak zwykle w południe, a Edwardek na własnych moich plecach, dostał się do szopy, pod którą uwiązany był kozioł. Kazałem Filipowi czuwać nad tem, żeby on kozła nie męczył, a kozioł żeby go znów rogami nie uderzył; sam zaś, wróciwszy do domu, rzuciłem się na szezlong, rozmyślając czy to podobna, że nie więcej jak dwadzieścia cztery godzin temu, byłem tak szczęśliwy obok ubóstwianej przezemnie kobiety. A o wieleż jeszcze szczęśliwszym będę za najbliższem widzeniem! Nawet szkaradna jednostajność dzisiejszej słoty wywierała na mnie ten wpływ tylko, że mi się moja radość jeszcze droższą i słodszą zdawała. Czas jakiś marzyłem cudnie z rozwartemi oczyma, lecz później, jakoś się one bez mojej wiedzy przymknęły. We śnie zdawało mi się, że jestem obecny przedstawieniu sceny rozbicia, ze sztuki „Dawid Copperfield;“ naraz zauważyłem, że grzmot był jakoś bardzo licho przedstawiony, dziwnie bezdźwięcznym i suchym odgłosem. Natężenie umysłu jakie to spostrzeżenie wywołało, rozbudziło mnie ze snu, ale owe źle naśladowane grzmoty nie chciały ustąpić; przeciwnie, jeszcze głośniej odzywały się nad moją głową. Cóż to więc być mogło? wyszedłem na werandę, a łoskot tem wyraźniej rozlegał się wprost nademną; zbiegłem z ganku na trawnik, i ztamtąd, o zgrozo! ujrzałem mego Charley'a, jak z najlepszą w świecie fantazją, chodził sobie po cynowym dachu werandy, trzymając stary parasol nad głową.

— Właź do pokoju, natychmiast! — wrzasnąłem na niego. Ale głos mój przeraził młodego gentlemana tak dalece, że stracił równowagę, i krzycząc jakby go kto ze skóry obdzierał, zaczął się szybko staczać po dachu. Pobiegłem z wyciągniętemi rękoma, ale na szczęście zatrzymał się o wystającą rynnę, co jednak w niczem nie zmniejszyło jego krzyku.

— Charley'u — zawołałem — leż całkiem cicho, póki wujcio po ciebie nie przyjdzie, słyszysz?

— Słyszę; ale nie potrzebuję być cicho — odezwała się odpowiedź z dachu.— Będę krzyczeć. Nic nie widzę tylko niebo i deszcz.

— Ani się rusz — powtórzyłem — bo zbiłbym cię okropnie. — W jednem mgnieniu oka byłem na górze, ściągnąłem buty, oknem wylazłem na oślizły dach, i powróciłem z Charleyem; a trzęsąc się jeszcze sam z przerażenia, trząsłem nim z oburzenia i gniewu.

— Ja się tylko chciałem bawić w mamę, jak z parasolem chodzi po deszczu — uniewinniał się chłopak.

Cisnąłem go na łóżko i uciekłem. Doświadczenie nauczyło mnie, że ani perswazja, ani groźby, ani oczywistość niebezpieczeństwa, nie były w stanie powstrzymać tego dziecka, gdy sobie raz co w głowie ułożyło. Jakichże tu innych środków używać? Chociaż nie byłem tak pobożnym człowiekiem, jakby tego moja dobra matka pragnęła, pomyślałem jednak, czyby modlitwa nie była tu skuteczną, jako ostatnia ucieczka. Dla jego dobra a mego pokoju, byłbym był wówczas w stanie przeczytać od końca do końca, całą książkę do nabożeństwa, ale w tej chwili nawet czasu na to nie miałem, bo w tylnych drzwiach domu już zjawił się Filip, donosząc, że Edwardek dał kozłowi pogryść gąbkę od powozu, nawrzucał śmiecia do pompy, wyrywał włosie z ogona czarnej klaczy, i ostrym gwoździem rysował obrazki na świeżo lakierowanym pudle kocza. Edwardek niczemu nie zaprzeczał, ale wyglądał bardzo zasmucony, i zauważył, że nigdy nie będzie szczęśliwym, gdy go ktoś tak ciągle dręczyć będzie, i że chciałby, żeby na całym świecie żyli tylko cukiernicy i katarynkarze. Wzdychając wszedł za mną do pokoju, rzucił się w krzesło poręczowe, i zawołał z wejrzeniem z jakiem wyobrażam sobie Bajrona, nim u niego miało ono czas stać się szyderczem:

— Ciekawym po co człowiek żyje na świecie, jeźli się wszyscy ciągle na niego gniewać mają? Założę się, że jak pójdę do nieba, to Bozia nie będzie taki nudny jak Filip, i jak jeszcze ktoś

inny. Chciałbym już raz umrzeć, żeby mnie pogrzebali, mnie i kozła, razem; i poszlibyśmy sobie do nieba, gdzieby nikt na nas nie krzyczał.

Biedny chłopczyna! z początku śmiać mi się chciało z tego pojęcia o niebie, ale przyszło mi na myśl, czy moje widzenie rzeczy wiele się od niego różniło, i czy też było więcej wiarogodne? Nie miałem jednak dużo czasu na te rozmyślania, bo Edwardek był przemoczony, z bucików sączyła mu się woda, i już miał silny atak kataru; wziąłem go więc do dziecinnego pokoju, i przebrałem go od stóp do głów. Jednocześnie zastanawiałem się nad tem, o wiele też podobne starania koło mnie skróciły życie memu ojcu, a powtóre, jak przy takim synu jak ja, mógł żyć nawet tyle co żył. Śród tego zajęcia nie od razu spostrzegłem nieobecność Charley'a; wreszcie ujrzawszy próżne łóżko, na którem go porzuciłem, udałem się na poszukiwania za zbiegiem. Nie było go w żadnym z pokojów, aż usłyszawszy szmer jakiś w przyległej widnej komórce, zajrzałem tam, i zastałem go, jak siedząc na ziemi, wyjadał ser, z zastawionej łapki na myszy. Skrzyp buta zdradził moją obecność, Charley porwał się z ziemi:

— Nie zrobiłem myszce nic złego — zawołał — tylkom ją wypuścił, żeby sobie pobiegała trochę. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Wrocław, w lutym 1879 roku.

(Nasza młodzież. Dziennik Poznański. Walka o idee. Z niemieckiego życia.

Kogo obchodzi los sprawy publicznej, nie może obojętnie patrzyć na młode pokolenie, które dorósłszy, ojców w służbie pospolitej wyręczyć winna. To pewnik, ale drugim pewnikiem będzie: lepiej nie patrzyć na dzisiejszą młodzież z pod dzielnicy pruskiej, bo trzebaby przestać wierzyć w jaśniejszą naszej idei dolę. Aż strach pomyśleć, co to będzie za lat dwadzieścia, może mniej, kiedy weteranów śmierć z posterunków odwoła, kiedy na opróżnione posady publiczne zabraknie odpowiednich kandydatów. A przecież jak dziś rzeczy stoją, nie ma nikogo dokądkolwiek się oko szukające zwróci. Młodzież nasza przechodziła rozmaite fazy i takie i takie, ale podobnej martwoty nie pamiętamy jeszcze. Od lat piętnastu, od ostatniego powstania skończyło już wiele generacji studja uniwersyteckie, a świeczników publicznych ani widać. Gdzież powody? Jest ich kilka. Wykształcony młodzieniec polski jest najsamprzód człowiekiem, czyli członkiem społeczeństwa w ogóle. Jako taki ssie w siebie pojęcia swego czasu, wyrastą na przekonaniach i celach bieżącej epoki, przejmuje część zapału lub apatji, ideałów lub ziewań pessymistycznych. Proces ten odbywa się najczęściej bez woli i wiedzy interesowanego. Jesteśmy dziś spadkobiercami duchowej spuścizny kilku epok przewrotowych, szałów romantyzmu rodzącego się, klątw konającego, bluźnierstw materjalizmu, w końcu szyderstw absolutnego pessymizmu. Wszystkie te kierunki dziewiętnastego wieku, utworzyły obecny czas... epokę przejścia, czyli wyczekiwania, więc chwilowej apatji i bezwiary. Naturalny to objaw. Patolog społeczny nie będzie tedy młodzieży bezwzględnie potępiał, gdyż wie, że ona bezwiednie chorobę swego czasu przejmuje. Pessymizm, objawiający się na zewnątrz przez apatję, napiętnował twarze zdolniejszej młodzi. Tylko o zdolnych głowach mówię, pospolite pomijając, które w każdej epoce ten sam zawsze koloryt zachowują: bierność. Obejrzyjmy się naprzykład po miastach uniwersyteckich. Do jakiejkolwiek „knajpy" zajdziemy, o jakiejkolwiek porze dnia lub nocy, wszędzie widzimy polskich akademików, hamletujących aż mdłości biorą. Doświadczyłem tego. Przez kilka dni włóczyłem się do świtu po znanych z dawniejszych czasów kawiarniach i restauracjach. Wszędzie spotykałem Polaków i to właśnie najzdolniejszych, hulających w towarzystwie aktorek, spiewaczek, szansonetek. Tryska szampan, lecą szklanki i flaszki o ścianę służba uwija się, puszczając innych gości „w trąbę", bo Niemcy wiedzą to, że kiedy się „polskie doktory" rozhulają, wtedy o parę marek na piwo nie chodzi. Nie robię zarzutu hulającej młodzieży. Gawronem jest ten, który się w kołysce „moralnie" uśmiecha, a młodzieńcem prawi niby purysta. Dobre piwo wyszumieć musi. Przecież i myśmy za kołnierz nie wylewali, a o kilka nieprzespanych nocy nikomu nie chodziło. Żal tylko młodości wielu, spędzonej w cuchnącej atmosferze kameliowych dam, żal zdolnych głów, któreby mogły świecić jak pochodnie szerokim blaskiem, a zużywają się w orgjach sklepowych. Do wszystkiego powinien być czas. Można przepędzić noc albo dwie, gdzie i jak się komu właśnie zechce, ale nie wolno zapominać o obowiązkach nieosobistych. Lecz do prac nieosobistych potrzeba wiary w niecielesną misją człowieka, a tej wiary właśnie nie ma. Stare bogi spadły z ołtarzów; nowych nie ma jeszcze; dawne powagi naukowe ośmieszyły się nieudolnością, kiedy wyrzekły: ignorabamus, ignoramus et ignorabimus, słowem braknie ludzkości ideału, czyli wyraźnego celu na kilkadziesiąt lat. Czczość ta jest przyczyną zasadniczą rozbicia ostatnich generacji, a nie będzie inaczej, dopóty się jaka idea nie znajdzie. Kiety to nastąpi? dziś jeszcze wiedzieć nie możemy, bo nowy kierunek dopiero się wyrabia. Oprócz powodu ogólnoludzkiego, który podciął skrzydła dzisiejszej młodzieży wielkopolskiej, nie wolno pominąć motywu swojskiego. Wiadomo, że po klęsce 1863 roku, tak zwanych przewodników publicznych głównem staraniem było zwrócić duszę młodszej generacji od „nieopłacających się szałów" do poważnej rzetelnej pracy. Na wszystkich punktach rozległo się hasło: tylko pracą organiczną dojść możemy do celu. A pracą organiczną nazywano: zakładanie banków, garbarni, sprytowni, gorzelni, porzucanie zawodów niepraktycznych i chwytanie się rzemiosł, przemysłu i fachów donośnych. Kto chciał uchodzić za mądrego, za postępowca, za patrjotę, wołał na całe gardło: przypasujcie fartuchy, rozbijajcie sklepy kupieckie i bankierskie, bądźcie praktycznymi, albowiem kupcy Polskę odbudują. Więc cała Wielkopolska zachorowała od razu na „pracę organiczną". Szlachcic sprzedawał ziemię, aby piekarnię albo gorzelnię założyć, mieszczanin puszył się, boć teraz dopiero doniosłość jego pracy zrozumiano. Pisma wszystkie akompaniowały: point de rêveries! dzieciaki szkolne marzyły tylko o „zarobkach, o złocie, o eleganckiem życiu", gdziekolwiek się poszło, słyszało się rozprawy „organiczne". I rzeczywiście wyrosły na łanach poznańskich banki, garbarnie, młyny, a bruk samego Poznania zbijały setki nowych zbawców ojczyzny, czyli kupczyków w najpospolitszem tego słowa znaczeniu. W czasach grynderskich widział Poznań cały legjon szlacheckich dzieci, które się pokumały z łokciem i kwartą, z pulpitem kupieckim i blagą dorobkiewiczów. Komu ławy szkolne zbrzydły, kto nie lubił pracy, rzucał książki, a wsadzał na głowę cylinder, na oczy szkła — czem jesteś? bankierem. A tak, bankierem. Bankierami nazywano całą służbę zakładów komisowych i zbożowych od prokurysty począwszy aż do pisarka, lub elewa, który zboże w śpichrzach przemierzał. Po bankiersku też występowali wszyscy, o czem hotele, dorózki i winiarnie wiele opowiadać mogą. Przyszedł wielki krach, wszystko się skończyło, praca organiczna wzięła w łeb, bruk poznański zaległ nowy proletarjat: kupczyków bez miejsca, nosy przewodników przedłużyły się o kilka cali, a idea polska zatrzymała się na kilkanaście lat, bo po wielkiem wysileniu nastąpiła apatja, jak zawsze. Dzieckiem tej epoki jest dzisiejsza młodzież. Niech się przewodnicy nie skarżą na apatję współczesnej młodzi, sami ją sprawili. Wzięli chłopcu w szkole ideał, a chcą, żeby się zapalał, kazali mu „liczyć, zarabiać", a dziwią się, że dorósłszy nie rozumnie innych uciech krom materjalnych, że się poświęcać nie umie, że się uczy dla posady, dla chleba, a śmieje się z trudów patrjotycznego życia. Ktoby był wówczas zawołał: nolite spiritum extinguere! byłby się dorobił tytułu warjata. Duch, dusza? Nie wieszże ty jeszcze, że duszy nie ma? Szał ten materjalny zmarnował kilka generacji. I wasz korespondent odczuł wpływ swego czasu bardzo dotkliwie, bo stracił pięć lat najpiękniejszych życia w biurach inżynierskich. Dlaczego? Ano, w modzie było nazywać się kupcem albo inżynierem itd... byle nie artystą, pisarzem, uczonym. To drugi powód; jest jeszcze trzeci. Od kilku lat wywiera rząd pruski niezmierną presją na kształcącą się młodzież naszą. Kto się poświęca jakiemu urzędowi, wie dziś z góry, że się musi z tradycjami polskiemi pożegnać, że go wyślą gdzieś na krańce wielkich Niemiec, a jeźli zostawią w kraju, otoczą go szpiegami. Biada sędziemu lub prefesorowi, którego ujrzą w towarzystwie jakiego wybitniejszego Polaka. Wie o tem kształcąca się młodzież, i dlatego zaczyna ważyć słowa nawet w gronie bliskich kolegów. Trzy wymienione powody złożyły się na urobienie bardzo nędznej młodzieży, straconej dla naszej sprawy. Trzeciego powodu usunąć nie można, bo trąci walką o byt, w obec której ustają wszelkie cele niesamowolne. Biedaków, skazanych na pensje pruskie, musimy raz na zawsze uwolnić od pracy narodowej, dopóki się stosunki nie zmienią. Dwa drugie powody należą do patologji społecznej. Pierwszego nie usunie się gołem, choćby najwięcej zapalistem słowem, ale drugi jest czasowym tylko. O cóż chodzi? O to aby wrócić młodzieży ideał. Ideał polskiemu młodzieńcowi w obecnych stosunkach stworzyć, nie trudną zdaje się rzeczą. Jakież jego imię? Polska.

Z przyjemnością donoszę wam, że *Dziennik Poznański* z nowym rokiem nadspodziewanie odmłodniał. Już się ultramontanie z upadku jego cieszyli, dzwoniąc mu na pogrzeb... staremu dziaduniowi, kiedy się dziadunio nagle do pracy porwał. Sam żartowałem sobie na tem miejscu nie jednokrotnie z *Dziennika* i dlatego to, sprawiedliwości hołdując, cofam przepowiednie moje. *Dziennik Poznański* rozszerzył z nowym rokiem ramy rubryk, urozmaicił łomy, postarał się o staranniejszą redakcję, o lepszy język, słowem ma nową rację bytu, czego mu z serca winszujemy.

jako jedynemu pod zaborem pruskim liberalnemu organowi. Jedno tylko. Wartoby, żeby się tłumacze powieści, w feletonie dziennikowym umieszczanych, więcej „krępowali“ polską gramatyką.

Nowa idea jest u nas w ogóle kontrabandą, a w Poznaniu białym krukiem. Tymczasem właśnie w Poznaniu, a mianowicie w piśmie trochę dziwnem, lepiej dziwacznem, bo w *Warcie*, trwała przez krótki czas walką o nowe idee. Rzecz się miała tak: Znany autor wielu prac filozoficzno-teologicznych i estetycznych ks. Z. A., o którym już kiedyś wspomniałem, publikuje obecnie w *Warcie* cały szereg poglądów i rozpraw pod zbiorowym tytułem: „W co teraz wierzyć?“ Jedną część tych rozpraw przetłomaczono na jezyk niemiecki i umieszczono w piśmie katolickiem *Katholische Bewegung*, jak już wiecie. Otóż dopatrzył się w tej pracy wasz *Przegląd lwowski* herezji czy tam kołowacizny niemieckiej filozofji, dość, że czegoś, na co się syllabus niby nie zgadza, albo zgodzić nie może. Wskutek tego dopatrzenia się zohydził *Przegląd lwowski* autora; autor odpowiedział w *Warcie*, redakcja pomogła, więc wojna. Nie podaję samej kwestji, bo naprzód trzebaby napisać osobną rozprawę, a w takim razie lepiej odesłać czytelnika do oryginału.

Nowy rok nie przyniósł Niemcom wesołych nowin. Pani reakcja w towarzystwie policjanta stanęła na progu 1879 roku i pokazała liberałom pięść. Na wszystkich punktach trąbią do odwrotu, a głupi „Michałek“ wrzeszczy na całe gardło w myśl rządu: wróćmy się z przepaścistej drogi, na której nie można spokojnie zarabiać. Głupi Michałek ma rozum, oj ma, ale tylko dla *siebie*, jak wiemy. Z taczką przywędruje do Polski, a poczwórnie wyjeżdża. Naturalnie, że ma rozum. W pantoflach i w szlafmycy osiędzie na glebie naszej, na której gospodaruje jak szara gęś, a za lat kilkanaście, kiedy się „fest“ do polskiej ziemi przyczepił, jużci zapomniał, iż siedzi gościną, jużci siebie uważa za tubylca, a dawnych panów za intruzów. Prawda, że ma rozum... Jednak ten rozum nie ogarnia spraw nieosobistych. Kiedy chodzi o ofiarę, o przetrzymanie epoki przejściowej, Niemiec rozumu nie ma. Co mi tam po liberalnych prawach, po swobodnych konstucjach, kiedy *mój* przemysł, moje rzemiosło kuleje. Wolę czasy, kiedy na rogach Berlina rozlepiano plakaty z napisem „Ruhe ist die erste Bürgerpflicht“, byle mi dobrze było. Więc domagają się rzemieślnicy powrotu cechów, przemysłowcy chcą cła, a pan rząd uśmiecha się pod wąsem: a widzicie cymbały, żeście nie dorośli do samorządu. Ks. Bismarck kuje prawo kagańcowe (Maulkorbgesetz), a liberały: sza! Bismarck podaje nowele do ordynacji przemysłowej, a liberały proponują kompromis. Potrzeba jeszcze, aby konkordat z Rzymem przyszedł do skutku, a poszła sobie okrzyczana, otrąbiona wolność, wielkiego, niemieckiego Vaterlandu.

Z teatru nic nowego. *Doktor Klaus l'Arronge'a* o którym już swego czasu donosiłem, obiega obecnie sceny większych miast niemieckich, publiczności mięszanej, szlachtożerczy ku zbudowaniu, a autorowi ku moralnej korzyści, bo przyniósł ojcu już przeszło 100.000 marek tantjemy. Licho z teatrem w którym taki Doktor Klaus do głośnych nowości należy. *Wildbrandt*, jeden z ukoronowanych utworów przez konkurs imienia Schillera, puścił na scenę swego *Nerona*, którego dotąd trzymał w tece. Byłby lepiej zrobił, gdyby tego dziwadła nie był z teki wypuszczał. Śp. Cezar Neron, herostratowej raczej neronowej sławy mocarz, dla którego najlepszą, najwłaściwszą pamięcią, byłaby niepamięć, morduje w dramacie przez pięć aktów, kąpie się we krwi. I to nazywa Wildbrandt akcją dramatyczną Liczył oczywiście na straszne grube nerwy widzów i na pobłażliwość krytyki, która się nie ośmieli zaczepić poetam laureatum et comitem palatinum, jakby w średnich wiekach autora nazwano.

T. Jeske-Choiński.

Piśmiennictwo polskie.

Sprawa ruska. Prowodyrowie Rusi społeczeźni. Skreślił Z. Miłkowski. Poznań. 1879 r. 8ka. Str. 56.)

„Ruś ma przed sobą trzy drogi polityczne, stosownie do trzech celów, jakie jej w przyszłości przyświecają: Niepodległość narodową (Separatyzm), połączenie z Polską, połączenie z Moskwą.“

Dążenia do niepodległej Rusi są bardzo słabe. Perspektywa wywalczenia dla Rusi niepodległości jest prawie żadna. Położona między Polską a Rosją ostać się samoistnie nie może, dlatego też o takiej Rusi mało kto marzy, niemogąc dopatrzyć się widoków powodzenia. Pozostają dwie inne drogi. Połączenie z Polską, czego się Rusini obawiają ze względu na więcej rozwiniętą oświatę w Polsce i przez pamięć na zatargi w przeszłości, które to zatargi podnoszą moskiewscy pisarze do kolosalnych rozmiarów, tłumacząc po swojemu, aby odłączyć Ruś od Polski, fałszując dzieje i nie wstrzymując się przed żadną potwarzą.

Najważniejszą jest w pracy p. Miłkowskiego ta część, w której odpowiada na zarzuty czynione związkowi Rusi z Polską, odpowiada z całym spokojem i argumentacją niezbitą. Odpowiedź taka ze strony polskiej była konieczną. Na tysiączne zarzuty jakie słyszymy ze strony ruskiej potrzeba było odpowiedzieć, aby opinja bałamuconą nie była, aby Rusini wiedzieli jakie są zapatrywania Polski. Zdaniem naszem, p. Miłkowski wypowiedział nie jeno opinję całej Polski, ale program wyłuszczony jest takim, że go ani dziesiejsze pokolenie nie zaprze ani nie mogą zaprzeć się przyszłe, a to z tego powodu, że program ów nie tylko jest racjonalnym, nie tylko płynącym z ducha dziejów naszych i zgodny z dążeniami wszystkich ludów, ale że jest koniecznym dla Polski.

Oto co pisze p. Miłkowski:

„Polska uchodzi za naród szlachecki, Ruś za chłopski: jedno niesłusznie i drugie niesłusznie. Po szlachectwie polskiem i po chłopstwie ruskiem czas mokrą powiódł gąbką i stany we względzie politycznym zrównał, stawiając na ich miejsce nierówności społeczne, takie same na Rusi jak w Polsce, jak we Francji, jak w Szwajcarji, jak na świecie całym. Tego atoli przemarzania pracownicy na niwie ruskiej widzieć nie chcą a raczej nie umieją, zapatrując się na moment dzisiejszy przez pryzmat historyczny, który ich straszy... królewiętami. Królewięta?...ej!... gdzie już one!... Potomstwo ich; przywdziawszy moskiewską austrjacką i pruską liberję, zerwało wiążącą je z królewiętkością nić tradycyjną i stało się w odniesiemu do polskiej sprawy tem samem, czem są w obec niej te warstwy społeczne, które w ogóle służą za podpory tronom. Dostarcza ono jenerałów, kamerjunkrów, ministrów, namiestników, na równi z podporami pochodzenia nie polskiego i, jeżeli który z pośród nich poczuwa się do obowiązku służenia sprawie narodowej, to musi... liberję zdjąć. Popełniają przeto Rusini gruby anachronizm, strasząc się królewiętami, strasza się jednak i postrach ten stanowi jedną z racji najgłówniejszych, dla których na drogę w kierunku drugim tak stosunkowo mało wstępuje pracowników.“

„...więcej zastanowienia wykazałoby Rusinom, że sprawa ruska obok polskiej stoi tuż, że jedna z drugiej wyrasta, jedna drugą przenika i *jedna bez drugiej obyć się nie może.*“

„Sprawa ruska jest jedną z najważniejszych, bo, powiedzieć się nie wahamy, najważniejszą wśród tych, które Polska niepodległa w spadku po sobie pozostawiła Polsce, przeżuwającej dnie smutne niewoli. Niewola, obce panowanie, ćwiartowanie kraju, kawałkowanie ziemi, sposoby administracyjne, ustawodawcze i polityczne, za pomocą których przez lat z górą sto znęcano się nad nią, nie pozbawiły Polski właściwości, stanowiących jej istotę, *istotę przedewszystkiem federacyjną*, związaną, postawioną jako taka faktycznie w czasach, kiedy się zuwiązywało państwo polskie i orzeczoną prawie w chwili, kiedy Polska w państwowym względzie stanęła na kulminacyjnym okrzepnięcia punkcie. *De facto i de jure* istota Polski jest federacyjną i taką być musi z racji genetycznej natury swojej, wobec której w momencie teraźniejszym obce panowania stoją w postaci racji jednej więcej.“

„Hasła dzisiejsze: autonomja, samorząd, decentralizacja, są to nie co innego, jeno właściwości owe, które istotę Polski stanowią. Hasła te stanowią duch czasu, atmosferę polityczną, którą w obecnej oddychamy chwili. Polska, chociażby jak chciała, zaprzeczać im nie może, a to naprzód dlatego, że własnej przeczyłaby istocie, powtóre dlatego, że hasła te do interesów jej przymierzone, odpowiadają takowym najlepiej.“

Najobszerniej traktuje autor trzeci kierunek prowadzący Ruś do połączenia z Moskwą. Sterownicy czyli prowodyry tego kierunku chcieliby takiego połączenia z Moskwą, jakiego chce Polska z Rusią. Ponieważ Polska nie ma niepodległego bytu, ponieważ o takowy ciężko walczy i do walki tej zaprasza Ruś, a Moskwa jest potężną, przeto prowodyrom Rusi wydało się polityczniej trzymać się Moskwy i od niej wytargować autonomję, samorząd dla Rusi za jakąbądź cenę. Ztąd ażeby zaskarbić sobie łaski caratu, rzucili się oni z całą zawziętością na Polskę, chcąc okazać się najgorliwszymi sprzymierzeńcami Rossji i przekonać, że interesa Rusi i jej dążenia, są identyczne z Moskwą. Ale Moskwa stoi centralizacją i jednym strychulcem wszystkich swoich poddanych mierzy, dąży do jedności wiary, języka itd. Więc najusilniejsze zabiegi dyplomatyczne prowodyrów Rusi nie odnoszą żadnego skutku. Owszem Rossja jak tylko dostrzegła cień dążności separatystycznych na Rusi, natychmiast zabroniła uczenia języka ruskiego w szkołach ludowych, zakazała drukować książek ruskich w całym caracie.

Ani cienia tej zawiści i obaw nie było ze strony polskiej. Autor zestawia liczne przykłady jak ze strony polskiej zawsze wspierano usiłowanie Rusinów do podniesienia ich narodowości. Dodać byśmy mogli, że w ten sam sposób postępowano u nas wszędzie. Tak na Białej Rusi, gdzie biało ruski żywioł nie dawał żadnego znaku życia, Polacy zaczęli uprawiać język białoruski,

*

drukować i szerzyć między ludem pisemka białoruskie. W tem narzeczu dał się poznać poeta Marcinkiewicz, który wiele pisał i tłumaczył a między innemi całego prawie Mickiewicza. Syrokomla także pisał po białorusku, a młodzież uniwersytetu wspierała jak najczynniej usiłowania ku rozbudzeniu życia i oświaty na Białejrusi. Toż samo działo się na Litwie. Wiadomo, że literatura litewska nie istnieje. Otóż dokładano usiłowań, aby ją stworzyć. Biskup Wołonczewski, Dowkont, Akielewicz, Iwanicki i wielu innych mniej znanych z zapałem wzięli się do stworzenia literatury litewskiej, aż ukazy carskie i prześladowania przecięły te prace, bo Moskwa nie może ścierpieć żadnych separatystycznych dążności i gnębi je w zarodku.

Dwie najwybitniejsze osobistości stoją na czele kierunku trzeciego, tj. połączenia Rusi z Moskwą. Mikołaj Kostomarów, znany historyk, b. profesor historji powszechnej kijowskiego uniwersytetu, następnie zesłany w głąb Rosji; a w końcu najpoddańsze narzędzie carskie w prześladowaniu Polski i szkalowaniu jej dziejów. Wszakże Kostomarów idąc w służbę carską nie został renegatem, owszem zawsze marzy o Rusi i pracuje dla niej, spodziewa się bowiem przekonać Moskali, że Ruś mając zupełnie te same dążności, tych samych przyjaciół i wrogów z Moskalami, zasługuje na trochę zaufania, przynajmniej aby dozwolono jej w szkołach ludowych używać języka ruskiego. Wyżej już wspomnieliśmy, że cała ta dyplomacja do żadnego rezultatu nie doprowadziła, owszem zaostrzyła wzrok moskiewski w ziemiach ruskich.

W ostatnich latach na widownią wystąpił drugi bojownik Drogomanów.

Michał Drogomanów urodził się w Hadziaczu, w Pułtawszczyznie w r. 1841, był profesorem historji w uniwersytecie kijowskim, zkąd za separatystyczno ruskie dążności wydalony i na wyjazd za granicę skazany, osiadł w Genewie, zkąd wysyła mnóstwo broszur socjalnych do Rosji. Jest to człowiek wysoce utalentowany i rozległej wiedzy, uważanym jest słusznie za przywódzcę partji socjalnej w Rosji. Drogomanów bez zaprzeczenia jest patrjotą ruskim i to tak dalece, że p. Miłkowski podejrzywa w nim szczerość zasad socjalnych*) uważając, iż takowych używa tylko jako postrach przeciwko Moskwie, grożąc jej rewolucją socjalną, jeżeli nie urządzi się federacyjnie, nie zaprowadzi samorządu prowincjonalnego. Czy dyplomacja Drogomanowa wywrze jaki wpływ na rząd carski, czy go przestraszy? Nie wątpimy, że nie.

Nie potrzebujemy zachęcać czytelników do zapoznania się bliższego z broszurą p. Miłkowskiego, sprawa bowiem jest tak ważną a imię autora tak poważne, że to wystarczy zupełnie jako największa zachęta. Nie dotyka wprawdzie autor kwestji ruskiej na gruncie galicyjskim, jeno ją traktuje z ogólnego stanowiska, ale w ten tylko sposób sprawa ruska poznana może później znaleść odpowiednie zastosowanie w życiu codziennem.

*) Nie możemy się bezwzględnie godzić na zdanie Szanownego autora. Oprócz Drogomanowa moglibyśmy zacytować wielu znanych uczonych jak np. Limanowskiego, Liebknechta i innych, którzy na tę sporną kwestję, inaczej się zapatrują. (przyp. autora.)

Kronika tygodniowa.

Lwów dnia 13. marca.

Różne ludzie miewają kłopoty na świecie, ale mało takich, któreby mogły iść w porównanie z ambarasem dziennikarza, kiedy mu przyjdzie skomponować historję tygodnia w tonie humorystycznym, podczas takiej psiej pogody jaka obecnie u nas panuje. Niedosyć, że to jest post wielki, że się ludziska nie bawią, a tylko radzą, ankietują i obliczają, co wcale zabawnem być nie może,—to jeszcze wiatr ze śniegiem dmie w oczy i to zawsze w oczy, że świata Bożego zobaczyć nie można, a tembardziej usłyszyć jakiej przyjacielskiej głośnej pogawędki na ulicy, bez której kochani lwowianie obejść się nie mogą. Nawet spory małżeńskie odbywające się w ten głośny sposób podczas przechadzek, nie mają teraz miejsca: wszystkie piękne i niepiękne buziaki pozatykała zawierzucha, a biedne gazety posiłkować się muszą korespondencjami z prowincji, gdzie panowie posłowie wychwalają przed wyborcami swoją ciężką polityczną pracę i żądają obiadu.

Kiedy więc wszystkie sfery wesołe trzymają usta na kłódkę zamknięte, trzeba iść po nowiny do jakiej bądź cukierni lwowskiej, gdzie zgromadzają się w porze wieczornej wszelkiego rodzaju ciekawscy.

— Pan dobrodziej małą kawę?—pyta mię usługujący chłopiec z głową ostrzyżoną przy samej skórze.

— Małą—odpowiadam—i narodówkę...

To ostrzyżenie głowy chłopca, zaraz daje powód sąsiadom moim do rozmowy:

— Czego oni ich tak strzygą jak laików klasztornych?—odzywa się jeden.

— Ba, na co?—żeby nie mieć pokusy targania ich za czuprynę. — Raz pisali o tem w gazetach, że subiekci w cukierniach pozwalają sobie za wiele z tymi włosami chłopców, więc gospodarz kazał ich ostrzydz przy samej skórze, i teraz choćby sam miał ochotę trzęsienia gruszek,—to nie ma za co uchwycić.

— Dowcipny hamulec na własne namiętności—zauważył pierwszy... — Słuchajno ty, pst... pst—woła na uwijającego się między gośćmi chłopaka—dajno mi Szczutka?

— Skonfiskowany proszę pana.

— Daj Dziennik polski dzisiejszy?

— Skonfiskowany także....

— To Dziennik poznański albo Wiek?

— Nie trzymamy, proszę pana.

— To cóż wy u licha trzymacie?

— Jest Nowa Pressa, Tagblatt, Floh, Kikeriki....

— Dajże mi Narodówkę?

Chłopiec nie odpowiada, tylko pokazuje głową na siedzącego przy drugim stole nie młodego już mężczyznę z bardzo ciekawym nosem i z dwoma pieskami obok, który tak męczy tę biedną Narodówkę, kto wie, czy nie gorzej od Czasu krakowskiego, że nie ma nadziei, aby ją przed 10tą godziną z rąk popuścił...

— Hm — mruczy do siebie, częstując kawałkiem cukru wskakującego na stół pieska — gdzie się mógł podzieć ten vice-gubernator z Charkowa? Pisze, że zniknął, ale kto go uprzątnął, czy nihiliści czy Moskale... ciekawa rzecz...

Przy trzecim stole zasiada trzech bardzo gadatliwych i wesołych młodzieńców.

— Hej ty mały... — woła jeden — daj mi lody.

— Małe?

— Małe... A mnie herbatę... a mnie dużą kawę..

— Powiedz mi jak ty możesz jeść lody, kiedy takie zimno? — pyta się jeden.

— Cóż chcesz, wracam z Serajewa, a tam już upały takie, że ludzie bez ubrania chodzą...

— Pan dobrodziej wraca z Serajewa? — odzywa się jegomość duszący Narodówkę.

— Tak jest, z Serajewa, odsługiwałem swój rok ochotniczy.

— No i cóż tam?

— Nic panie dobrodzieju... Wszystko idzie dobrze, rychtują się na Nowy Bazar.

— A tu piszą, uważa pan dobrodziej, że nie zrzekają się, ale nie pójdą.

— Słuchajno Władek — wtrąca drugi znajomy tego Serajewczyka — jakże tam bośniaczki ładne?

— Gdzietam, czarne jak djabły, pękate... Ale Turczynki za to, to... — dokończył mlasnąwszy ustami jakby do całusa... Chcecie spróbować serajewskiego tytoniu? Mam jeszcze trochę... no, róbcie papierosy, pyszny tytoń.

— Więc z temi Turczynkami tego... — zapytuje ów ciekawski...

— A-a-a i owszem...

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja — wtrąca znów dusiciel „Gazety Narodowej“... — a pójdziesz precz Żolka, pfe, kto to widział tak się narzucać... Zejdź mi zaraz ze stołu — mówi zsadzając na krzesło machającą ogonem faworytkę. — Czy też są już w Bośni trafiki?

— Nie, nie ma.

— A loterja? proszę pana.

— Nie ma jeszcze loterji.

— Nie ma? — To na cóż oni wydali te sześćdziesiąt miljonów! Marnotrawstwo, nic więcej... No z tego widać panie dobrodzieju, że to tylko prowizorjum... Wierzę Andraszemu, wierzę... No, no, żeby oni chcieli ten kraj annektować, toby tam były już trafiki, i loterja liczbowa...

Młodym zaczęła ciężyć ta interwencja starego pana z pieskami, bo nie zważając na niego rozmawiają dalej.

— Gdzie idziesz dzisiaj?

— Do teatru.

— Co grają? Zdaje się że Niby Małżeństwa... Byłem na tem, głupstwa, czułości... nie warto. Pierwszy i drugi akt nudne, płaczliwe... Jakiś stary birbant nawrócony moralizuje, a jego kochanka tak się rozczula... Co oni u djabła uwzięli się z temi morałami...

— Przeciwnie, mój drogi — odzywa się inny — to sztuka znakomita, szkoda tylko że poczciwa idea nie mogła zatryumfować, i że ofiary zostały bez rezultatów... Podwyszyński jak grał... no. dalibóg nie wiem czy może być coś naturalniejszego...

— A co to ma być w Piątek... jakiś dramat Litwosa, kto ten Litwos?

— Czytałem, czytałem w rękopiśmie, ten dramat „Na jedną kartę“ — mówi ten sam zachwycający się grą Podwyszyńskiego — wcale nie zły, z pewnością się podoba.

— A jeszcze jak go nasi artyści zagrają.

— Już to naszej dyrekcji trzeba oddać sprawiedliwość, że stara się zapoznawać publiczność z każdą nowością, jak na dzisiejsze ciężkie czasy, to wiele.

Przy innym stole, ale już w drugim pokoju, siedzi znowu trzech. Jeden widocznie szlachcic ze wsi, bo wąs tęgi, mina, czupurna i trzy podbródki jeden grubszy od drugiego. Obok niego jakaś wymokła figura z dużym nosem i czarnymi jak kruk włosami, a trzeci niezawodnie radny miejski, bo trzyma w ręku jakąś karteczkę, na której wypisany jest porządek dzienny obrad magistratu.

— No, pociesz się Antosiu — rzecze ów pan z długiem nosem rozczytując się w Gazecie Lwowskiej — będziecie mieli spichrze we Lwowie i Krakowie i...

— Na co?

— Na zboże... Widzisz obraduje ankieta zbożowa pod prezydencją samego Namiestnika, dla ożywienia handlu, żebyście mieli ceny lepsze i odbyt. Słuchaj, jak Jego Ekscelencja mówi, że nie rozumie dlaczego w sąsiednim kraju kupują z jego majątków zboże w różnych miesiącach i zabierają, a w galicyjskich jego dobrach pies się o zboże nie pyta, a jeżeli kto kupi to nie chce zabierać... Dlatego też zwołał ankietę i uradzili, żeby budować spichlerze na kolei.

— Alboż ja nie mam w domu swojego spichlerza — rzecze wąsaty szlachcic. — Niech tylko ceny będą dobre, to kupiec w moim spichlerzu znajdzie pszenicę.

— To też o to idzie, żeby sprowadzić kupców z zagranicy, żeby zobaczyli jakie my mamy zboże, i co go mamy.

— Et! mój drogi, jak było potrzeba zboża, to go panie dobrodzieju, żydkowie nasi i w piekle wynaleźli, a jak niepotrzeba, to żebyś go bratku i do Paryża zawiózł, nikt nie kupi. Nie miałbym też co do roboty a sprowadzał im tu zboże i płacił składowe i był na łasce kupca..

— No i zaliczkę byś dostał z Banku...

— To, to, to, oni tego chcą, żeby mieli komu na dobry procent pożyczać pieniędzy i mieć pewność. Dałem ja już raz swoje żyto w komis, to wiem jak mię ogolili. Składanie, szuflowanie, wysypywanie, nasypywanie, ususzka, panie dobrodzieju, waga... tyle mi narachowali, że Icek tylko się śmiał ze mnie... Już ja tam do nich nie pójdę z moim zbożem. Najlepiej na miejscu sprzedać. Co wzięte, to święte...

— Już tam miasto żadnych magazynów nie będzie budowało — wtrąca pan radny — Na co? Albo to kraj mało ich ma, a stoją puste. A nie stoi to pusty spichlerz we Lwowie po banku. Jakby potrzeba było, tobyć do tego zsypywali... Niech sobie tam obywatele i Wydział krajowy budują kiedy chcą, miasto nic nie da...

— Ale przyznacie panowie, że źle jest ze zbożem, prawda? i że coś trzeba zrobić, bo będzie bankructwo.

— Ha, to coż robić. Ameryka wiezie, Moskale wiozą. Jabym ani jednego korca z tamtąd nie puścił do kraju, dopóki my naszego zboża nie sprzedamy. A nie, to niech bestje płacą cła po jakie dwa reńskie od korca, przynajmniej rząd będzie miał co z tego, i nie będzie tak ciągnął z nas podatkami. Jak slyszę, to tylko nasze koleje o Moskali dbają...

— Wszystko to nic — odzywa się pan z dużym nosem — ale jakże tu podnieść ceny...

— Jak? — zmusić Anglików i Niemców żeby od nas kupowali.

— To jest, zmusić ich, żeby więcej jedli...

— A choćby i to — powiada szlachcic — od czegoż jest rząd? Czy to nie robią tego inne kraje, że zmuszają do kupna towarów. Czy Anglicy nie kazali Chińczykom kupować opium...

Zaczęli się wszyscy śmiać serdecznie z pomysłu pana szlachcica, ale tak głośno, że siedzący blisko jegomość i dumający nad odgadnięciem rebusa z Tygodnika Illustrowanego, wyniósł się do pierwszego pokoju.

W innym kącie rozprawiano o nowym dzienniku, którego narodziny zapowiedziane są już więcej niż od dziewięciu miesięcy, a który mimo to nie może ujrzeć światła dziennego. Panowie ci, zdaje się, że trochę literaci, mówili ciszej, a jeden z nich już podłysiały rysując ołówkiem na marmurowym stole postać jakiejś baletnicy, przekonywał, że nowy Dziennik zabije wszystkie gazety lwowskie...

— Kiedy oni nie mają pieniędzy — mówi jeden.

— Ale gdzietam nie mają — dodaje ten rysujący,—złożyli już jedenaście tysięcy... a deklarowali siedmdziesiąt.

— Co mi ty mówisz, że mają — wtrąca trzeci — kiedy właśnie wiem, że starają się aby im Sejm przeznaczył ze 20000 zł. rocznie subsydiów...

— Bajki, zkąd znowu Sejm przychodzi do wydawania pisma politycznego... absurdum... zdaje się, że cała ta historja założenia nowego pisma jest poronionym płodem.

— To też właśnie mają wziąść lekarza na redaktora...

Wtem wpada nowa osobistość, młody wysoki brunet z ożywionem spojrzeniem...

— Co nowego, co nowego? — wołają wszyscy robiąc mu koło siebie miejsce.

— Najprzód pozwólcie mi tytoniu na papierosa, albo gotowe cygaro...

— Masz, masz, tylko mów!

— Szegedyn zalany wodą, ale tak, że piętrowych domów nie widać... Dalej...

— Co dalej?

— Sejmu nie będzie na wiosnę, ale na jesień... Dalej przyjechał do Lwowa minister Taaffe...

— Ho, ho, to coś ważnego.

— I to uważacie po bytności Rigera i Clam-Martynica w Wiedniu... Coś, coś się kłuje... górą nasi...

— Wyborną rzecz wyczytałem w dziennikach warszawskich — odzywa się na to ów jegomość z pieskami, który wydusiwszy narodówkę wziął się do Kurjera Warszawskiego. — Jakaś pani ogłasza, że chce męża, ale tylko do ślubu, a po ślubie za jego nazwisko ofiaruje mu odczepnego 6000 rubli, żeby sobie poszedł z panem Bogiem...

— Rzeczywiście, ciekawa historja! — zawołało wielu cisnąc się do owego inseratu. Co ja zobaczywszy uznałem że dosyć zabawy na dzisiaj, i wyniosłem się cichaczem z cukierni, ma się rozumieć zapłaciwszy za kawę w bufecie.

Szanowni czytelnicy! Jeżeli wasz kronikarz zmuszony jest tak się bawić podczas postu, to sądzę i wy przyjmiecie jego relację tygodniową z pobłażaniem, dopóki śnieg nie przestanie zamykać ust reporterom.

* * *

Przez parę ostatnich tygodni, była w ratuszu wystawa przedmiotów przywiezionych przez hr. Włodz. Dieduszyckiego z Wystawy paryskiej: Zasłużony ten dla kraju mąż, pełnił tam funkcję komisarza ze strony rządu austrjackiego i miał sposobność wybrania przedmiotów dla muzeów przemysłowych we Lwowie i w Krakowie. Rozległe jego stosunki, ułatwiły zebranie znacznej ilości doborowych okazów pomimo nieznacznej sumy, którą mógł rozporządzać, gdyż wiele okazów ofiarowanych zostało w darze.

Najliczniej ze wszystkiego reprezentowaną jest ceramika, której okazy ze wszystkich niemal stron świata widzieć było można, poczynając od niekształtnych ludowych wyrobów a kończąc na prawdziwych dziełach sztuki. Są to darowane przez francuskie ministerjum oświaty, wzory wyrobów z Sèvres, w stadjach rozmaitych wyrobu. Są bardzo piękne fajanse francuskie; wzory malowideł na porcelanie; przepyszne i kunsztowne wyroby szklanne; okazy koszykarskie. Wspaniałym i wielce pouczającym, jest zbiór okazów ślusarskich amerykańskich i wiele innych pięknych i pożytecznych przedmiotów.

W dziale szkolnym znajdują się tablice ścienne, przedstawiające rozmaite przedmioty z zastosowanej historji naturalnej oraz wzór podręcznej bibjoteczki przeznaczonej dla szkół francuskich ludowych. Nie możemy się w tym miejscu wdawać w szegółowy opis okazów wystawionych, zaznaczamy tylko, że nowe te przedmioty przyczynią się znakomicie do uzupełnienia obu naszych krajowych muzeów przemysłowych.

* * *

Po szumnym i pełnym hałasu karnawale nastąpiła zwykła pora odczytów, koncertów, amatorskich przedstawień, które pojawiły się w takiej ilości, że bywają dnie w których odrazu ogłoszone są dwa odczyty i jeden koncert. Wygląda to wprawdzie po wielkomiastowemu, ale w salach za to pusto. Na przyszłość mamy zapowiedziany tak długi ich szereg, że to co jest już wiadomem starczy na zapełnienie wieczorów aż do samej Wielkiejnocy.

Mamy zapowiedziany szereg odczytów na korzyść bursy nauczycielskiej. Imiona prelegentów wróżą im powodzenie. W piątek pierwszy odczyt pana Bełzy „o świecie legendowym polskim.“ Dalej mówić będą pp. Ochorowicz, Wilczyński i Tretiak, wszyscy dobrze znajomi czytelnikom Tygodnia. Tym razem nikt już nie będzie mógł narzekać na przewagę odczytów przyrodniczych, bo na cztery, znajdują się trzy temata czysto literackie.

Koncertów cała powódź, po większej części artystów naszych znanych i debiutujących, oraz naszych stowarzyszeń muzycznych. O przyjeździe znakomitości europejskich dotąd nie słychać wcale. Powiadają tylko, że się ma ukazać po raz pierwszy we Lwowie pan Barcewicz, młody skrzypek z Warszawy, który w tak krótkim czasie zdołał sobie zjednać za granicą sławę pierwszorzędnego artysty-skrzypka.

W teatrze nie ma takiego ożywienia jak w zeszłym roku; nie ukazała się ani jedna sztuka, którąby mogła stanąć na równi z Panem Damazym, ani jedna któraby na długie czasy w repertoarze utrzymać się mogła. Jakiś zastój i jakaś martwota opanowały naszych komedjopisarzy. Panie Bliziński! Od czasów „męża od biedy“ nie mieliśmy żadnej wiadomości o panu.

Stali goście teatru zainteresowani są bardzo dramatem nowym: „Na jedną kartę,“ który się ma w tych dniach na scenie ukazać. Jest to pierwszy utwór dramatyczny Henryka Sienkiewicza, piszącego pod pseudonimem „Litwosa.“ Zainteresowanie to ogólne tłumaczy się łatwo tym, że autor na polu powieściopisartwa obdarzył naszą literaturę prawdziwie mistrzowskiemi powiastkami. Czytelnicy tygodnia znają go z Hani.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Leja Emilia.* Obrazki czterech pór roku wraz z opisaniem potrzeb i zatrudnień człowieka, z odpowiedniemi wierszykami, poświęcone dzieciom, 8ka, str. 216. Warszawa 1879. Cena 90 ct.

— *Lohengrin.* Opera romantyczna w 3 aktach, Ryszarda Wagnera, tłumaczenie L. Matuszyńskiego, 8ka, str. 62. Warszawa 1878. Cena 50 ct.

— *Miłkowski Zygmunt.* Sprawa ruska, 8ka, str. 56. Poznań 1879. Cena 75 ct.

— *Ochorowicz Julian.* Pogadanki i spostrzeżenia z dziedziny fizjologii, psychologii, pogadanki nauk przyrodniczych, 8ka, str. 336. Warszawa 1879. Cena 2 złr.

— *Orzeszko Eliza.* Meir Ezofowicz. Powieść z życia żydów 4to str. 242 z 26 ilustracjami Andriolego. Warszawa 1879. Cena 4.50 ct.

— *O sianiu i hodowaniu* kwiatów letnich, 8ka, str. 64. Lwów 1879. Cena 60 ct.

— *Pietraszek Jan.* Mechanika popularna czyli podręcznik dla inżynierów, budowniczych machaników, maszynistów i techników w ogólności (502 drzeworytów w tekscie) 8ka, str. 696. Warszawa 1878, komplet. Cena 6.50 ct.

— *Prevel Juliusz.* Mąż płaczący. Komedja prozą w jednym akcie, 8ka, str. 51. Warsz 1879. Cena 50 ct.

— *Rembowski A.* Stanisław Leszczyński jako statysta, 8ka, str. 207. Warsz. 1879. Cena 3.30 ct.

— *Rzewuski X. Gracjan.* Katechizm rzymskokatolicki. Przystępnym sposobem wyłożony. Wydanie trzecie, 8ka, str. 170. Warszawa 1879. Kartonowane. Cena 55 ct.

— *Sargusz K.* Książe Alf i Poeta Szparag szkic z życia, 8ka, str, 38. Warsz. 1878. Cena 55 ct.

— *Schlipf.* Wykład popularny nauki gospodarstwa wiejskiego. (Dzieło uwieńczone nagrodą konkursową) z ósmego wydania niemieckiego przełożył Wł. Noskowski (z 314 figurami w tekscie), 8ka, str. 643. Warszawa 1879. Cena 7 złr.

— *Smiles Samuel.* Pomoc własna (Self-Help). Wydanie trzecie, 8ka, str. 408. Warszawa 1879. Cena 1.80 ct.

— *Tarczyński Hip. Bog.* Jakie są obowiązki obywatela, napisane dla ludu wiejskiego i miejskiego, 8ka, str. 112. Warszawa 1878. Cena 40 ct.

— *Tissot Wiktor.* Wiedeń i życie wiedeńskie, przełożył z francuskiego Zygmunt Rauspech, 8ka, str. 426. Warszawa 1878. Cena 1.25.

— *Verne Juliusz.* Przygody trzech Rosjan i trzech Anglików w południowej Afryce. (Dzieło uwieńczone przez akademię francuską) ozdobione 50ma rycinami, 8ka, str. 335. Warszawa 1879. Cena 2 złr. Kartonowane 2.40 ct.

— *Walter Dr. F.* Historja filozofii prawa i państwa, przełożył Gustaw Roszkowski, 8ka, str. 112. Warszawa 1879. Cena 1.25 ct.

— *Wielki elementarz polski* z 8ma tablicami kolorowanych rycin. 4to stron. 40. Warszawa 1879. Oprawne 1.10 ct.

— *Wielki sennik* egipski wykładający najlepiej przeszło 4.500 różnych snów z oznaczeniem panujących planet, 8ka, str. 112. Warszawa 1878. Cena 35 ct.

— *Zaruski J.* Dawne wychowanie szkolne i domowe naszych kobiet, 8ka, str. 49. Warsz. 1878. Cena 30 ct.

— *Źródła dziejowe t. VII.* Sprawy Prus książęcych. Za Zygmunta Augusta w r. 1566—1568.— Djarjusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich, wydał i wstępem objaśnił Adolf Pawiński, 8ka, str. 339. Warszawa 1879. Cena 5.25 ct.

— *Z salonów żydowskich.* Szkic do powieści skreśliła Żydówka, 8ka, str. 60. Warszawa 1879. Cena 70 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** „Siły i środki naszej sceny,“ studjum Władysława Bogusławskiego, drukowane w odcinku *Gazety polskiej,* wyjdzie w tych dniach w oddzielnej książce.

Autor zamieścił tu również rzecz swą o „szkole dramatycznej.“

*** Najnowsze dzieło Legouvé'go p. t. „*Nos filles et nos fils*“ ukaże się wkrótce w polskim przekładzie.

Jestto książka zarówno zajmująca dla dzieci jak i dla rodziców.

*** W Moskwie wydany został nakładem pana Ławrowa zbiorowy przekład niektórych utworów Syrokomli, dopełniony przez kilku rosyjskich poetów.

*** Trzy odczyty publiczne, wypowiedziane przez hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, pod tytułem „Wspomnienia z Florencji,“ rozpoczął drukować *Tygodnik ilustrowany.*

*** Gazeta Narodowa rozpoczęła w jednym z ostatnich numerów druk fantazji J. I. Kraszewskiego, pod tytułem: „Dajmon.“

Rzecz ta opatrzona dantejskiemi słowy: „*A gloria non si va par via fiorita,*“ poświęconą została przez autora hrabiemu Wojciechowi Dzieduszyckiemu.

*** Przed trzema laty zawiązane Stowarzyszenie Techników galicyjskich liczy już 500 członków i wydaje organ „Dźwignia“ oraz Kalendarz na 1879 rok.

*** Poseł na sejm ruski z Poznańskiego, pan profesor Pilaski, obchodził 30-letnią rocznicę nieprzerwanego spełnienia swych obowiązków.

*** Towarzystwo polskie Akademików w Berlinie obchodziło 40-letnią rocznicę istnienia, na której pan Dobrowolski, prezes, odczytał rys historyczny Towarzystwa.

*** W Poznaniu Dr. Jerzykowski miał odczyt „O najważniejszych przyczynach samobójstwa.“

*** Nakładem wydawnictwa Gazety narodowej wyszła z druku książeczka, p. t. Syn burmistrza. Obrazek z niedawnej przeszłości przez F. Choińskiego. Jest to opowiadanie, osnute na tle ostatniego powstania 1863 r. pełne zajmująco skreślonych scen i wypadków jakie miały miejsce w owym czasie w księztwie Poznańskiem.

*** Ostatnie dzieło Wiktora Hugo.

Autor „Strasznego roku“ wydał obecnie w Paryżu nowy utwór poetyczny pod tytułem „La pitié suprême“

Jest on poniekąd niespodzianką dla licznych wielbicieli poety.

Utrzymywano bowiem, że będzie to wierszowana rozprawa o potrzebie udzielenia ogólnej amnestji, która tak żywo cały Paryż w ostatnich czasach zajmowała.

Wiktor Hugo doprasza się w swojem ostatniem dziele ułaskawienia rzeczywiście, ale dla historycznych tyranów, jak Sulla, Nero, Ludwik XI i t. p.

Autor wykazuje, jak złe wychowanie, pochlebstwa dworaków, bezgraniczna samowola i serwilizm z owych wielkich grzeszników zrobiły wyrzutków i prześladowców ludzkości.

Żąda tedy dla nich zmiłowania i miłosierdzia ludzkiego.

Utwór ten ma zawierać przepyszne ustępy.

*** W tych czasach rozstrzygnięto w Ameryce wielką kwestję, ogrzewania całego miasta za pomocą jednego ogniska. Urządzenie takie funkcjonuje już w Detroit w stanie Michigan. Towarzystwo zawiązane w Nowym Jorku zostało upoważnionem do wprowadzenia takiegoż przedsiębiorstwa za złożeniem 250,000 złr. kaucji. Towarzystwo to, podjęło się ogrzewać wszystkie gmachy publiczne za cenę o wiele niższą od kosztów zwykłego opalania.

*** *Tunel po pod górę św. Gotarda w Szwajcarji.* O postępach robót około przewiercenia góry świętego Gotarda i budowy tunelu dla kolei żelaznej, donoszą: Wielki tunel świętego Gotarda za kilka miesięcy będzie faktem dokonanym; w tym czasie bowiem zaświta dzień, w którym robotnicy z dwóch stron góry jednocześnie docierający do jej wnętrza, podadzą sobie ręce. Znowu duch ludzki świetny obchodzić będzie tryumf nad przeciwnościami, jakie mu na ziemi stawia natura. To nowe dzieło olbrzymie, będzie zasługą robotników włoskich, którzy przewiercili górę św. Gotarda, zniósłszy najcięższe trudy i mozoły z pogodnem czołem i całem zaparciem się. Iluż z tych dzielnych ludzi padło ofiarą swego zadania, utraciło nagle życie lub okaleczało wśród pracy w dusznem, ciemnem podziemiu! Robotnicy zatrudnieni około budowy tunelu tego są podzieleni na trzy oddziały, z których każdy pracuje po ośm godzin na dobę, tak, że ciągle się zmieniają i robota ani na chwilę nie ustaje. Pracować oni muszą prawie nago, ponieważ gorąco w głębiach góry jest tak wielkie, że inaczej znieśćby go nie mogli. Po ośmiogodzinnej pracy wychodzą z tunelu w stanie godnym politowania. Cerę mają żółtą, światła słonecznego znieść nie mogą, a krok ich tak ciężki i niepewny, jak gdyby każdy uginał się pod ogromnem brzemieniem. Przedsiębiorcy czynią wszystko, co mogą, ażeby biednym tym ludziom osłodzić los ich ciężki. Utrzymują szpital, lekarza, aptekę; wszystko to jednak nie może złagodzić fatalnych skutków takiej pracy. A pomimo to robotnicy włoscy są dość weseli i dobrej myśli. Mają najskromniejsze wymagania, poprzestają na czemkolwiek, nie narzekają na swój los, i wytchnąwszy po ośmiogodzinnej pracy w głębi góry, znowu spokojnie tam idą na ośmiogodzinną pracę.

*** *W sprawie słownika technicznego polskiego.* Nowe pismo techniczne pod nazwą: „Inżynierja i budownictwo cywilne, przemysłowe i rolnicze“, podjęło w pierwszym zeszycie swego wydawnictwa myśl ułożenia słownika technicznego polskiego, nadmieniając, że już ze strony tak jednostek, jak i zbiorowo ułożeniem takiego słownika zajmowano się u nas, lecz dotąd nieszczęśliwym sposobem dobre chęci nie odniosły skutku, i redakcja tegoż pisma podała projekt, w jaki sposób zamierza przyczynić się do tak pożądanego celu.

Projekt ten jest następujący: podawane będą w szpaltach powyższego pisma wyrazy techniczne w językach: francuskim, niemieckim, rossyjskim i angielskim, z krótkiem wytłumaczeniem znaczenia; od techników zaś i osób kompetentnych spodziewana jest odpowiedź, jakie wyrażenie odpowiednie polskie mają w używaniu, lub jakie zdawałoby się im być odpowiednie do rzeczy z zachowaniem ducha języka polskiego. Wyraz, który z tych odpowiedzi okaże się, jako najwięcej używany, lub znajdujący najwięcej zwolenników, po przedstawieniu powagom powołanym, ma być ogłoszony, a w ten sposób po pewnym czasie dojść można do słownika technicznego polskiego.

W ocenie powyższego nowego pisma, dokonanej przez inżyniera Józefa Spornego, w dodatku do „Gazety warszawskiej“, Nr. 41 r. b., spotykamy się z uznaniem dla podobnej myśli, przypominając również, że była ona już wiele razy podnoszona przez ludzi dobrej woli i wytrwałej pracy na polu technicznem“. Jednakże powyższa ocena nasuwa obawę, czy argument, przytoczony przez redakcję nowego pisma, że inżynier, obrawszy sobie jakąkolwiek gałęź specjalną w swoim zawodzie, znać powinien wszystkie techniczne wyrażenia w rodzinnym języku, „zachęci ogół z natury dosyć obojętny na całą tę sprawę“.

Nieprzesądzając, o ile ogół co do tej sprawy jest obojętny, należałoby mu dać wszechstronną sposobność do wzięcia udziału w tej pracy, a zatem zaprosić do niej: zarządy budownicze, fabryk, hut, kopalń, warstatów mechanicznych, stolarskich, ślusarskich, kamieniarskich, zarządy kamieniołomów, przedsiębiorców, i wogóle towarzystwa, które znowu, mając styczność z jednostkami technicznemi i majstrami wszelkich z techniką wspólność mających rzemiosł, pośredniczyłyby im w składaniu z własnoręcznym podpisem, spisów nazw technicznych, przez nich używanych, z opisem znaczenia i użytku, a ze swej strony

towarzystwa te podawałyby nazwy, u siebie używane.

W ten sposób rozdzieliłaby się praca w niewielkiej ilości na uczestników; a tak z różnych stron nagromadzony materjał, odsyłany perjodycznie do redakcji technicznej z powag złożonej, która zechciałaby się następnie ocenieniem, uporządkowaniem całości zająć, stanowiłby zasługę wszystkich udział biorących, i dlatego spis uczestników w zbiorowej pracy około słownika do tegoż dołączony być powinien, tak jak są dołączone spisy abonentów na dzieła.

Materjał, dawniej nagromadzony w dziełach, podręcznikach, przewodnikach, słowniczkach technicznych, oraz słownik górniczy Łabęckiego, który zarazem jest słownikiem technicznym wyrazów różnych rzemiosł kruszcowych i innych, z niemi złączonych, odda w tej pracy wielką przysługę.

Jakkolwiek tworzenie nowych nazw nie jest rzeczą łatwą, a jeszcze trudniejszą ich wprowadzenie w użycie, to one mogłyby znaleść miejsce obok nazw, przyjętych w różnych miejscowościach, dla samego przetrawienia się w umysłach.

Do dojścia jednak do pożądanego celu, ażeby słownik taki posiadał powagę wszechstronną, potrzeba, żeby nietylko redakcja pisma, która ma się zająć wydawnictwem słownika, ale także grono powag było znane i umyślnie zawiązaćby się powinno, celem znoszenia się z ogółem w pewnych razach, oraz dla rękojmi umiejętnego ocenienia i spożytkowania materjału, przez tenże ogół nagromadzonego, i doprowadzenia wydawnictwa do skutku.

F. Rejowicz,
inżynier d. ż.

⁂ Na posiedzeniu kom. archeologicznej Akad. Nauk. Krak. d. 1. lutego p. Kirkor zdawał sprawę z badań archeologicznych na Podolu Galic., zkąd 80-ciu przedmiotami zbogacono zbiory, oraz nakreślił topografję wału Trajana.

⁂ Na posiedzeniu Tow. Lekarskiego Dr. Blumenstock zawiadomił o utworzeniu stałej komisji sądowej medycznej.

⁂ Na posiedzeniu wydz. filologicznego Ak. N. Krak. d. 7. lut. czytano rozprawę p. Radlińskiego: „Przekład napisów królów perskich z rodu Achmenidów“, a p. Malinowski: „Przyczynek do historji samogłosek nosowych w języku polskim“.

⁂ Tow. Nauk. techników polskich w Wiedniu, odbyło w roku zeszłym 18 odczytów specjalnych, rozpisało konkurs z matematyki, który otrzymał p. Wł. Kopacz i sformułowało bibjotekę z 162 dzieł.

⁂ Wydz. historyczno-filozoficzny Ak. N. Krak., na posiedzeniu d. 10. lut. wysłuchał rozprawy p. Hoszowskiego o domu Myszkowskiego, a p. Szujski przedstawił kodeks listów Eneasza Silwiusza (Juljusza II), będący własnością Bibljoteki Krzeszowickiej hr. Potockich.

⁂ W Towarzystwie Techników Krak. odbyło się posiedzenie, na którem rozprawiano nad referatem inżyniera Kołodziejskiego: „O projektach na wodociągi krakowskie“, a Dr. Brzeziński odczytał o kanalizacji miast.

⁂ Na posiedzeniu kom. hist. Ak. N. Krak. d. 18. lutego, odczytano treść rozpraw stanowić mających wydawane we Lwowie „Monumenta historica Poloniae“ (Bielowskiego), a p. Piekosiński o statucie wydanym w Radzyniu 1454 r. dla ziemi Sanockiej i Przemyskiej.

⁂ Na posiedzeniu wydz. matematyczno-fizycznego Ak. N. w Krak. d. 20 lut., przedstawiono publikacje, jako to: IV t. Pamiętnika, V t Rozpraw i XII Sprawozdań komisji Fizjograficznej, odczytano treść rozprawy Kreutza: „Istota różnopostaciowości i stosunek oddzielnych modyfikacyj ciał różnopostaciowych“, oraz Brandowskiego „O acetyleno-dwukarbonowym i pochodnych“. Dr. Rehman złożył „O początku współczesnych okręgów roślinnych“.

⁂ Ks. Dahlem znakomity badacz starożytności w Górnym Palatynacie i w Ratyzbonie, zrobił zajmujące odkrycie archeologiczne: że naczynia gliniane pokrywające starożytne urny rzymskie z popiołami spalonych ciał zmarłych, służyły do pomieszczania kadzideł.

⁂ Dr. Michalski miał odczyt w Krakowie: „O początkach i znaczeniu panowania angielskiego w Indjach“.

⁂ P. K. Ostrowski, rzeźbiarz, został przez Tow. lekarskie zaszczycony poleceniem wykonania pomnika św. p. Girsztowta. Pomysł był bardzo szczęśliwy, oto o columbarium stoi oparta pełna żalu i bólu Hygiena, córka Eskulapa, trzymająca w swem ręku symbole medycyny: węża i czarę. Lecz prezydjum kościoła Sto-krzyzkiego w którym ma być pomieszczonym pomnik dla czcigodnego profesora, nie pozwoliło wejść Hygienie z wężem i czarą do kościoła, ale ochrzciło ją wyrzucając symbola medycyny, a natomiast dając jej wieniec. Artysta musiał się pogodzić z tym smutnym sądem.

⁂ *Przegląd tygodniowy* podaje następujące szczegóły o literaturze rosyjskiej:

„Przechodząc do literatury bieżącej rossyjskiej, nie wiele mam do zaznaczenia. Belletrystyka milczy. Trudno bowiem do artystycznych płodów zaliczać elukubracje byłego korespondenta z teatru wojny, p. Nemirowicza-Dańczeńko, który płodzi już drugi romans na tematy zabałkańskiego dramatu — bez treści, sensu i ładu. A oprócz niego nikt jakoś nie występuje na scenę. Zapowiedziany romans Tołstoja „Dekabryści“ w żadnem z czasopism jeszcze się nie ukazał. O książkach, z trochę poważniejszej dziedziny, w chwili bieżącej ogólnego braku środków i zwróconej uwagi głównie na tę kwestję — trudno bardzo. Jeśli się zjawiają czasem niewielkie broszurki, to po większej części zlepki artykułów rozrzuconych po czasopismach z lat dawniejszych. Literatura perjodyczna, jeśli się tak wyrazić można, z każdym rokiem przybiera coraz bardziej wyżółkłą barwę. Nieskończone spory, napadanie na osobistości, kompilacje często niefortunne — mogą służyć jako dowód że stojący przy ołtarzu dobra i piękna, nie bardzo zapaśne mają spichlerze wiedzy. Słusznie też w „Diele“ p. Szełgunow w artykule p. t. „Postępowa reakcja“ twierdzi, że jeśli po 60-tym roku było wiele błędów, których teraz nie ma, to za to literatura lat ostatnich grzeszy jednem a mianowicie: najmniejszej nie zwracając uwagi na potrzeby chwili, nie może zadowalniać zwykłego czytelnika zapuszczaniem się w przedpotopowe czasy i filozoficznemi kwestjami, których nie każdemu dano jest zrozumieć. Niepodobna odmówić słuszności temu twierdzeniu. Dość jest przebiedz nagłówki artykułów, zamieszczanych w miesięcznikach, aby się przekonać, że o wszystkiem tam mowa, i o abstrakacjach, systemach, socjologiczno-moralnych badaniach, ekonomicznych systematach, systematyce wiedzy — wyjąwszy o prostych, dla każdego ciekawych i dostępnych faktach życia chwili bieżącej. Ztąd to pochodzi, że kiedy dawniej wyszedł zeszyt miesięcznika, to go rozrywano, a w bibljotekach doprosić się go nie można było, a dziś nie rozcięte grube tomy nie łatwo zwabiają czytelników...

„Dwa nowe czasopisma z nowym rokiem ujrzały światło dzienne. Miesięcznik „Ruskaja Riecz“ (Ruska Mowa) i tygodnik-gazeta „Odgłosy“ (Otgołoski). Sądząc z tego co dotąd dały, nie można świetnej wróżyć im przyszłości. Miesięcznik zaśpiewał na starą nutę: w przedmowie plecie biedaczysko o „zgniłym zachodzie“, o nowych zasadach, opartych na czysto słowiańskich fundamentach, słowem o tem, o czem dziś nikt dobrze myślący, wyjąwszy jednostek i to upartych a nierozsądnych, na serjo nie myśli. Prawdopodobnie więc dla marnego grosza, gdy ujrzy się bez prenumeratorów „Ruskaja Riecz“ zmieni kierunek, a jeśli tego nie zrobi, przeniesie się *ad patres.* „Otgołoski“ — jest to ni mniej ni więcej tylko bez ładu prowadzona przez p. Karnowicza, jałoszka p. Retgera (tutejszego księgarza), który ma nadzieję wyhodować ją z czasem na... dojną krówkę. Życzę, aby to mu się nie udało. Kilka artykułów, pisanych jedną i ta samą ręką, a zbijających się wzajemnie, których treści nie umiałbym powtórzyć, tak jest zagmatwana i niejasna, niech ciekawym posłuży za przykład. Znaleźć je można w czterech już wyszłych numerach tego pisma.

„Zwracam uwagę interesujących się tem, na początek powieści N. Sewerina (pseudonym, pod którym kryje się zdolna bardzo autorka kilku szkiców powieściowych) p. t. „W czużoj semje“ (Wśród obcych), zamieszczony w „Diele“. Z tego co dotąd w „Diele“ zamieszczono — ani tak, ani siak powiedzieć jeszcze nie można. Zaznaczam tylko, że jestto historja polskiej rodziny, osiadłej w jednem z gubernialnych miast Rosji. Tomat, jak dla nas bardzo ciekawy.“

Sztuki piękne.

⁂ Na Krakowską wystawę przybyły: Mireckiego „Wodnice“, „Niewinna zasadzka“, „Dziedziniec starożytnego domu“. Józefa Fałata dwie akwarelle: „Wnętrze lasu“, „Na przedmieściu“. Andrzeja Grabowskiego: „Portret mężczyzny“ i Br. Abramowicza: „Przegląd biżuterji“.

⁂ Kossak wykończa akwarellę „Stado Dyonizego Trzeciaka w Tarnowie“.

⁂ Rzeźbiarz Barzaghi wykończył model statui konnej Napoleona III, która ma być w Medyolanie wzniesioną. Odlew z bronzu będzie we Florencji wykonany.

⁂ Wielka wystawa akademiczna utworów artystów żyjących, krajowych i zagranicznych, będzie otwartą d. 31 sierpnia r. b. w tymczasowym gmachu wystawy na placu Cantian.

⁂ Model statui lorda Byrona jest wykończony. Przedstawia on poetę w ubiorze marynarskim, siedzącego na skale. Statua będzie odlaną z bronzu. Artysta, któremu tę pracę powierzono, rzeźbiarz R. C. Belt w Londynie, pracuje także nad statuą zmarłego hr. Russel.

⁂ Znaleziono niedawno znów obraz ołtarzowy Łukasza Kranach, młodszego z r. 1584 w Colditz. Wyobraża on „Św. Trójcę“ i jest malowany na drzewie.

⁂ Po usunięciu się francuskiego generalnego dyrektora sztuk pięknych, Guillaume, utworzono generalny sekretarjat dla zarządu w wydziale sztuk pięknych, na które stanowisko powołany został de Ronchard.

⁂ Artysta rzeźbiarz Brodzki ofiaruje wykuć z marmuru posąg zmarłego Mianowskiego — jeżeli ze składek zakupionym będzie blok marmuru kararyjskiego.

⁂ P. Juljan Maszyński, wykończa obraz większych rozmiarów „Przyjęcie do konwiktu“.

⁂ Na Wyst. Tow. Zach. Warsz. znajdują się: „Wianki“ z terracoty, Trembickiego. „Popiersie L. Kronenberga“, Cenglera z gipsu i „Popiersie Marji Łobaczewskiej“ Klossa.

Wiadomości przyrodnicze i podróże.

⁂ Stowarzyszenie Brukselskie, w celu zbadania Afryki, odbyło dnia 5 lutego posiedzenie pod przewodnictwem króla, na którem był obecny Stanley. Ten ostatni będzie podobno kierował belgijską wyprawą badawczą do Afryki.

⁂ Na posiedzeniu dyrekcji Tow. Afrykańskiego w Berlinie, przedstawiono sprawozdania nadesłane przez podróżujących Gerharda Rohlfs'a i dr. Buchnera. Ze składek bieżących Towarzystwa przeznaczono 2.000 marek dla Ad. Krause na podróż w góry Ahaggar.

⁂ Celem przyniesienia pomocy wyprawie Nordenskjölda, wysłany będzie parostatek należący do Gordona Benneta, niezwłocznie po otwarciu żeglugi z San Francisco do cieśniny Behringa.

Stowarzyszenia.

⁂ Doszło nas z Paryża sprawozdanie z czynności zarządu „Instytucji czci i chleba“ za r. 1878. Zawiera ono akt założenia tej instytucji w r. 1862 i krótką historję jej powstania. W roku ubiegłym przychód wynosił 19.959 zł. 6 ct. wydatki 17,821 zł. 15 ct., pozostaje w kasie na rok 1879, 2137 zł. 91 ct., fundusz żelazny wynosi 14,632 zł. 71 ct. Do powiększenia tego funduszu przyczynił się głównie zapis śp. Elżbiety Wilkxyckiej w kwocie 7035 zł. Radę stowarzyszenia składają: Zaleski Bohdan, prezes, Chobrzyński Karol, wiceprezes, Laskowicz Władysław administrator, Gałęzowski Józef, Gorkowski Karol, Henszel Konstanty, Kasparek Józef, Mazurkiewicz Wincenty, Michałowski Feliks, Nabielak Ludwik, Rustejko Józef, Sienkiewicz Artur, Staniewicz Sylwester, Zaleski Bronisław, Zaleski Djonizy.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Starożytny zamek w Nieświeżu ma być odrestaurowany kosztem ks. Antoniego Radziwiłła.

⁂ Towarzystwo zaliczkowe przemysłowców warszawskich posiadało z końcem roku zeszłego wkładów 270,112 rs., kapitału żelaznego 46,897 rs., w portfeilu 1,019.617 rs., a kapitałów obcych 813,713 rs.

⁂ Dr. Dobrzycki projektuje udział towarzystw lekarskich polskich w jubileuszu Kraszewskiego.

⁂ Lublin niebawem już oświetlony zostanie gazem, miasto zawiera kontrakt z entreprenerem p. L. Suligowskim.

⁂ W Częstochowie z ofiar zebranych przez miejscową resursę wsparto 30 uczniów gimnazjum.

⁂ W Sosnowcu buduje się fabryka korków oraz materyj przerabianych ze starzyzny, a także huta szklanna.

⁂ Z kontraktów kijowskich donoszą, iż dyrekcja kopalń Dąbrowskich otrzymała mnóstwo zamówień na węgle od cukierników.

⁂ Wartość wywozu z Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej w roku 1878 przewyższa o 304,542.571 dolarów wartość towarów wprowadzonych.

KŁADKA.

przez

L. HAMEAU.

(Dokończenie).

Marylka dochodziła już lat szesnastu. Młode dziewczę dotrzymało wiele więcej niż obiecywało dziecko. Płeć jej miała świeżość i połysk tych pięknych białych i lekko zabarwionych różowem, kwiatów głogu, jakie czerwiec nakształt gwiazd zasiewa po naszych zielonych krzewach... Wzrostu była średniego, z rączkami i nóżkami dziecka, chód jej i każde jej poruszenie miało wdzięk nieskończony... Dla mnie samego choć jestem starcem, każde jej przejście, ile razy ją spotkałem pozostawiało w mej duszy jasny odblysk, jakby łagodny promień słońca wiosennego.

Fabian ze swojej strony wyrósł na najpiękniejszego chłopca w całej gminie. To też poufałość tych dwojga pięknych jakby dla siebie stworzonych istot, wywołała w końcu zazdrość. Na wsi zaczęto uważać za niestosowne, długie ich samotne przechadzki i obmowa, ten ohydny potwór zamieszkający tak dobrze chaty jak pałace, wywarł na nich wkrótce cały swój jad.

Rodzice Marylki zaniepokoili się wreszcie dochodzącymi ich dnia każdego plotkami. Najpierw uważali oni, iż dziewczynka jeszcze jest za młodą, żeby ją wydawać za mąż, a powtóre mogła, jak mówili, lepszej spodziewać się partji, gdyż posiadali pewien mająteczek, a dzieci mieli tylko dwoje.

Fabian był wprawdzie uczciwym i pracowitym chłopcem, ale nic nie posiadał, niestety! Postanowili go zatem oddalić z domu, w nadziei, że jego nieobecność zatrze w sercu córki tę miłość, którą uważali za proste dziecińśtwo.

Jednego też wieczoru dzierżawca zawołał Fabiana i powiedział do niego:

— Mój chłopcze, znalazłem dla ciebie doskonałe miejsce w wiosce V... leżącej o kilka mil ztąd, u jednego z moich przyjaciół, bogatego dzierżawcy. Potrzebuje on człowieka inteligentnego, któremu mógłby powierzyć kierownictwo ważnych prac rolniczych, jakie przedsiębierze w tym roku w celu ulepszenia swojej posiadłości. Jestem przekonany, że mu się podobasz, a jeśli będziesz się starał go zadowolnić, to z pewnością sowicie cię wynagrodzi. To nie dlatego — dodał — żebym był z ciebie niezadowolony, ale chłopiec w twoim wieku potrzebuje przejrzeć trochę świata. Nowy twój pan oczekuje cię pojutrze.

I oddalił się nie dając innych wyjaśnień co do tego nagłego postanowienia. Fabian pomyślał o Marylce i serce mu się ścisnęło... ale jakże się oprzeć woli surowego dzierżawcy? Czyż nie zawdzięczał całego swego istnienia temu, który go przyjął i następnie wychował jak syna? Trzeba więc było słuchać.

Nazajutrz żegnając się z Marylką biedny chłopiec chciał okazać się silnym i odważnym w obec łez młodego dziewczęcia. Powiedział jej, żeby miała nadzieję... ale oddalił się ze złamanem sercem, gdyż przeczuwał że ją traci na zawsze. A kiedy na widnokręgu znikły zupełnie nizkie dachy wiejskich chatek i te wielkie lasy, wtedy już siły go opuściły i padł na drodze gorzkiemi zalewając się łzami.

Rozpacz Marylki uspokoiła się powoli. Odwaga powróciła i młoda dziewczyna przez kilka miesięcy oczekiwała cierpliwie, ufając w przyszłość. Przecież jej przyjaciel odchodząc powiedział, żeby miała nadzieję... a zresztą Fabian skorzystawszy o ile mógł z nauki biednego nauczyciela wiejskiego, umiał trochę pisać. To też ile razy przesyłał biednej swojej matce kilka słów pociechy, zawsze znajdowała się piękna ćwiartka cała zapisana dla młodej przyjaciółki z dni dziecińśtwa.

Ale niestety! spokojność ta miała trwać niedługo. Pewnego dnia dzierżawca odkrył tajemnicę tej korespondencji. Wypędził matkę Fabiana i zakazał córce ostro odbierania nadal jakichkolwiek listów od młodego chłopca, podając za powód tej surowości, że to wszystko jakkolwiek bardzo niewinne dotychczas, mogłoby w przyszłości zaszkodzić w jej losie. A zarazem skorzystał z tej sposobności, żeby jej oznajmić jakie stanowcze powziął w tym względzie zamiary.

To było strasznym ciosem dla biednego dziecka. Poddała się temu wyrokowi bez szemrania i nie skarżyła się wcale... lecz każdego dnia bladła i usychała jak kwiatek pod tchnieniem burzliwego wiatru.

Jednego dnia wreszcie osłabienie jej doszło do tego stopnia, że wstać już nie mogła. Silna gorączka się rozwinęła; wezwano mnie na folwark. Spustoszenia jakie choroba w tak krótkim czasie zrobiła na tej delikatnej słabej istocie, przestraszyły mnie niewypowiedzianie.

Tego samego wieczora gorączka wzmogła się i przeszła w malignę. Nieprzytomność jej była bolesną i przerażającą dla patrzących. Przepędziłem całą noc przy jej łóżku. Po długiem badaniu rodziców odgadłem wreszcie jaki był prawdziwy powód jej cierpienia i oświadczyłem stanowczo, że jedną rzecz tylko na świecie mogła na to poradzić, a jeśli się na nią nie zgodzą, to ja nie mogę przyrzec, iż ocalę im córkę.

Tym jedynym ratunkiem był powrót Fabiana.

Przed taką groźbą miłość rodzicielska przemogła i wezwano napowrót wygnańca.

W kilka tygodni później, w gorący dzień sierpniowy Marylka, którą szczęście postawiło na nogi, schodziła oparta na ręku swego przyjaciela po kwiecistej ścieżce prowadzącej do tej tu doliny. Każdy zakręt drogi, każdy krzaczek, każde drzewko okryte kwiatami budziło w nich mile jakieś wspomnienie... wzrok ich wtedy i ręce spotykały się mimowolnie, a milczenie było wymowniejszem nad najpiękniejsze rozprawy!

Zaręczeni byli od wczoraj i teraz gdy nic już nie stało na przeszkodzie, pozwolono im odbyć razem daleką przechadzkę w celu przekonania się w jakim stanie znajduje się winnica leżąca po drugiej stronie lasu i czy winogrona dojrzeją już wkrótce.

Przez wodę przeszli w tem miejscu, przemknąwszy lekko i wesoło przez kładkę, której tu już nie ma teraz i zagłębili się w gęsty las, gdzie tylekrotnie rozlegały się echa ich zabaw i przyjacielskich pogadanek.

Powietrze stawało się coraz cięższe i niebo okrywało się szybko gęstemi czarnemi chmurami. Lecz co ich obchodzić mogło niebo i wszystkie żywioły na ziemi? Gęste liście twozyły nad ich głowami sklepienie nie do przebycia, a gęściejszą jeszcze była zasłona, jaką bożek miłości zawiesił na ich oczach. Niebo dla nich znajdowało się w ich sercach i w niem spokój i szczęście panowało niezwruszone.

Doszli też do celu swojej przechadzki nie troszcząc się wcale groźbami burzy. Trzeba było jednak niedługo pomyśleć o powrocie, gdyż grzmot zaczynał huczyć w oddaleniu i wielkie krople deszczu z coraz większą spadały gwałtownością. Przyspieszyli kroku, lecz zaledwie dostali się do lasu, burza wybuchła z całą gwałtownością. Krzewy gięły się na wszystkie strony na wpół wyrywane z korzeni, gałęzie starych dębów łamały się i spadały z trzaskiem, zwierzyna przestraszona całym pędem przebiegała polanki. Noc nadchodząca stała się nagle całkiem czarną i Fabian z wielkim tylko trudem zdołał doprowadzić do brzegu lasu swoją drogą towarzyszkę, która drżała i przyciskała się do niego za każdem uderzeniem piorunu.

Na łące było jeszcze gorzej, deszcz lejący strumieniami przezięb ił ich do kości. Gdyby nie myśl o niepokoju, jaki ich nieobecność sprawiłaby rodzicom, biedne dzieci byłyby powróciły do lasu, żeby tam znaleźć pod drzewami schronienie, ale oboje pomyśleli o swoich matkach i polecīwszy ducha Bogu postanowili dalej walczyć z burzą. Przybywszy na tę łąkę, którą tam pani po drugiej stronie widzi, zstali ją już całą pod wodą i Fabian musiał chcąc przez nią przejść wziąć na ręce swoją ukochaną narzeczoną.

Ta mała rzeczka, którą pani widzi dzisiaj tak spokojną, zwiększona gwałtownym prądem wody i ulewą, wylała i płynęła z hukiem tocząc wysokie fale. Młody człowiek musiał szukać długo nim mógł znaleść kładkę. Odkrył ją wreszcie i przyciskając do serca szacowny ciężar, odważył się wejść na nią, uszczęśliwiony myślą, że po tylu trudach zbliżali się do portu. Ale zaledwie doszedł do połowy zaimprowizowanego mostu, gdy straszny trzask dał się słyszeć. Deska złamała się pociągając ich oboje za sobą. Marylka zemdlała z przerażenia i padając opuściła ręce z szyi Fabiana. Prąd w takich okolicznościach nadzwyczajnie silny w tem miejscu z powodu sąsiedztwa tego młyna, który może pani ztąd dostrzedz w dolinie, uniósł biedną dziewczynę.

Zrozpaczony, oszalały z boleści Fabian zaczął płynąć pomimo utrudnienia jakie mu sprawiało przemoknięte ubranie i zupełna ciemność panująca wówczas. Od czasu do czasu błyskawica przedzierała chmury i ukazywała na jedno mgnienie oka coś białego płynącego przed nim, ale zaledwie myślał, że zdoła przedmiot ten uchwycić, gdy ciemność zakrywała mu znowu wszystko przed oczami.

Nakoniec po nieopisanych wysileniach, udało mu się pochwycić ubranie swojej narzeczonej.

Trzymał je jeszcze w obydwóch kurczowo ściśniętych rękach, kiedy ich znaleziono w kilka godzin później oboje leżących na tym brzegu bez życia.

Po nieskończonych staraniach i zabiegach zdołano przywołać jedno z nich do życia, jedno tylko niestety! Był to Fabian... Powoli siły poczęły wracać w zesztywniałe jego członki, ale powtórna boleść oczekiwała serce jego biednej matki. Otworzył oczy, ale jej nie poznał. Fabian był obłąkanym!...

I widzisz pani, dodał doktor, czem się objawia jego szaleństwo. Zdaje mu się, że powrócił do pięknych dni swego dziecińśtwa. Błąka się ciągle po łąkach i lasach i każdego dnia powraca tutaj rozmawiać ze swoją przyjaciółką, która wydaje mu się, że razem z nim kwiatki zbiera.

Starzec nie mówił już, a ja go słuchałam jeszcze wruszona i zamyślona. Spoglądałam z pewnym żalem na przeźroczysty strumyk, który powoli toczył swoje lekkie i przejrzyste fale, muskając łagodnie kwieciste trawniki rozpościerające się po obu jego brzegach. A tymczasem kwiaty biednego obłąkanego unoszone coraz dalej zdradzieckim prądem, łączyły się chwilami tworząc fanatyczne bukiety...

Nagle usłyszałam w oddaleniu wesołą trąbkę myśliwską, oznajmiającą mi powrót z polowania.

Podziękowawszy więc serdecznie poczciwemu doktorowi za opowiadanie, głęboko zamyślona udałam się napowrót ścieżką prowadzącą do małych drzwiczek w murze park okalającym.

Odpowiedzi Redakcji.

Szanowej Redakcji Przeglądu Polskiego w Krakowie. Trudno, nie możemy. Właśnie za szczerość i otwartość w artykule o Stańczykach został „Tydzień" skonfiskowany i wydawnictwo zabronione. Musimy o Was mówić bardzo oględnie. Siła przed prawem, nie ma co robić. Ale cierpliwości, dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

Panu L. W. w Poznaniu W tej chwili z uprzejmej propozycji Pańskiej korzystać nie możemy, posiadamy bowiem przygotowanych do druku kilka powieści tłumaczonych.

Treść Nr. 7.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki